Nr. 249. Lwów. — Wtorek dnia 1 listopada. **Rok 1887.**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	Na prowincji z przesyłką pocztową
Miesięcznie — zł. 75 ct.	Miesięcznie 1 zł.
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

Prenumerata datować może od każdego dnia, ale kończyć się winna z końcem bądź miesiąca, bądź kwartału, bądź półrocza, bądź roku. Pp. prenumeratorowie raczą przeto obliczać nadsyłaną kwotę w ten sposób, aby wystarczyła równo po koniec któregokolwiek z powyżej wskazanych terminów.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU“ we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej, L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie nie jest dopuszczalna.

Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenumer. we Lwowie przyjmują: Trafika p. J. Ważnego, przy ul. Czarnieckiego l. 2. Trafika przy ul. Karola Ludwik l. 5. Trafika przy ul. Ossolińskich (obok Łazienek Diany). Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika. l. 9.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Wszystkich Świętych | Jutro: Dzień zaduszny.

Adres Redakcji i Administracji: Ulica Sykstuska L. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 6 m. 53·0 | Zachód „ 4 „ 35·0

Długość dnia g. 9 m. 43·0 | Ubyło dnia 1·0 min.

Przegląd polityczny.

Ogólne naprężenie i niepewność jutra jest znamieniem teraźniejszych stosunków we Francji. Tam ciągła chwiejność, ustawiczne balansowanie rządu na linie przeciągniętej nad przepaścią jest już oddawna stanem normalnym; ale takiego zawichrzenia, jak teraźniejsze, jeszcze nie było. Stanęła tam na porządku dziennym nietylko kryzis gabinetowa, ale i prezydjalna, a stało się to z powodu uchwały parlamentarnej, że afera Caffarela i udział w niej p. Wilsona powinne być rozpatrzone przez komisję izbową, niezależnie od rozprawy sądowej, która odbędzie się 7. listopada, ale tylko nad Caffarelem, D'Andlau i panią Limousin.

Żeby zrozumieć dla czego izba prawodawcza pozwoliła sobie przekroczyć swe atrybucje i stać się niejako komisją śledczą, a następnie sądem, w którym trybunał, oskarżyciele i obrońcy byliby równocześnie wotantami, — żeby ten dziwoląg zrozumieć, trzeba zajrzeć za kulisy parlamentarnej sali.

Cofnijmy się o parę miesięcy. Goblet, ostatni wielki człowiek do małych interesów, upadł i radykaliści z całym swym orszakiem anarchistów, komunardów, petrolejników, admiratorów Ludwiki Michel i boulanżystów mieli przyjść do steru. Wtedy prawica, stojąca pod dowództwem barona Mackau, podała rękę ludziom porządku, przyrzekła popierać względnie umiarkowany gabinet w zamian za rzecz bardzo małą, bo za wyrzucenie z gabinetu jenerała Boulangera. Oferta tem chętniej była przyjęta, że tego jenerała i umiarkowani republikanie mieli już dosyć i oto do steru przyszedł gabinet Rouviera. Radykaliści przegrali wtedy partją, Rouvier kierował sprawami dość zręcznie, zdobywał sobie coraz więcej zwolenników i pod koniec tego lata począł dawać do zrozumienia, że mu cięży poparcie prawicy, „tych wrogów republikanizmu“ i że potrafi sobie znaleźć nową większość. Występy hr. Paryża i ks. Wiktora Napoleona, zjazdy monarchistów, manifesty pretendentów — wszystko to jeszcze bardziej odsunęło rząd od prawicy i stało się rzeczą niemal pewną, że po zebraniu się parlamentu Rouvier jakąś nową akcją przeciw „notorycznym wrogom republiki“ ustali byt swego gabinetu. Wtedy prawica skorzystała ze sprawy Caffarela, wódz bonapartystów Cuneo D'Ornano zaproponował wysadzenie komisji dla tej sprawy i wniosek ten przeszedł ogromną większością, na którą złożyły się głosy prawicy i radykalistów. Prawica zatem szachowała tu rząd, a radykaliści chcieli z tego skorzystać, rozumiejąc trafnie, że gdy się rząd i Grévy fatalnie skompromitują, to przecież nie prawica przyjdzie do steru, ale oni. Rouvier widział co się święci i dla tego z razu umył ręce, powiedział, że uchwała parlamentarna nic go nie obchodzi, a że przeciw niej występował, to jeno dla tego, że chciał przykrości oszczędzić Grévy'emu. Prawica poszła tedy dalej.

Na pierwszem posiedzeniu komisji uchwalono postawić w parlamencie wniosek o wysadzenie stałej ankiety, którąby gruntownie rozpatrzyła całą aferę Caffarela i nawiązała wszystkie boczne nici, jeżeli się one znajdą w caffarelowskim kłębku. Sprawa zatem wzięła brzydki obrót. Rzecz naturalna, że w tak skomplikowanej maszynerji, jaką jest zarząd państwa, muszą się tu i ówdzie zdarzać jakieś nadużycia, prześlepienia, niebaczne odszczególnienia znakiem legji honorowej, zwłaszcza w republice, gdzie każdy polityk musi sobie przyjaciół kupować. Można więc sobie wyobrazić, jaki obraz roztoczyłaby przed światem owa ankieta, tembardziej, że intencją jej było jak najczarniej odmalować rząd i w ogóle całą gospodarkę jawnych i zakapturzonych oportunistów. Stary Grévy zrozumiał, że przecież radykaliści nie pożałują go, lecz owszem z zapałem poczną błotem obrzucać, skoro już nie żenowali się tak brutalnie napaść na jego zięcia. *Intransigeant* napisał, że zebrał dowody zbrodni Wilsona, zbrodni takich, które go „na galery zaprowadzą“. Tego już było za wiele. Grévy postanowił podać się do dymisji. Wtedy Rouvier, prezydent senatu Leroyer i prezydent izby deputowanych Floquet, udali się do niego z prośbą o wstrzymanie się z decyzją; następnie Rouvier zwołał posiedzenie ministrów i na niem uchwalono także podać się do dymisji, jeśli komisja parlamentarna wniesie do pełnej izby projekt wysadzenia ankiety. Ale taka decyzja nie uchylała nadchodzącej awantury, owszem, przyśpieszała ją: gabinet ustąpiłby, jego miejsce zajęliby radykaliści i dopiero wtedy heca rozwinęłaby się na dobre. Więc to ani oportunistom nie było na rękę, ani koniec końców prawicy, którzy nie chcą kompromitować Francji, jakąkolwiek ona jest.

Tu zatem był punkt styczny interesów oportunistycznych z interesami prawicy. Rouvier spokorniał, poszedł do wodza prawicy bar. Mackau i wnet potem monarchiczne dzienniki doniosły, że prawica przedewszystkiem chce unikać przewrotów, któreby mogły zaszkodzić politycznemu i finansowemu położeniu Francji. Jeśli tedy, jak zapewniają pisma radykalne, rzeczywiście stanęło porozumienie między rządem a prawicą, to we czwartek, gdy komisja parlamentarna postawi przed izbą swój wniosek wysadzenia ankiety, prawica będzie głosowała przeciw niemu, oportuniści naturalnie także — i wniosek ten upadnie, a tem samem upadnie cała heca, a radykaliści znów osiądą na lodzie. Do czwartku tedy czekajmy. Być może, że jakieś ziarnko piasku wpadnie do koła, na którem się teraz nawija nić porozumienia rządu z prawicą i koło owo stanie. Tego się *Norddeutscherka* spodziewa, pisząc: „Złe opary gromadzą się nad ziemią po tamtej stronie Wogezów; stan barometru politycznego wcale tam nie jest normalny. P. Rouvier — spodziewamy się — znajdzie sposób na to, żeby nie być odosobnionym“.

Dziś — dla odmiany — znów jest prawie pewność, że car wracając do Petersburga, wstąpi do Berlina na... filiżankę buljonu. Ma się to stać 10 listopada. *Post* i *Norddeutscherka* ciągle o tem nic nie wiedzą i szydzą z wszystkich doniesień przedstawiających możliwość zjazdu. Natomiast znany inspirowany korespondent *Gazety Kol.* pisze z Berlina, iż lekarze carscy orzekli, że dla chorej dziatwy cara konieczną jest przerwa w podróży i wypoczynek. A zatem najwłaściwszem miejscem na popas jest Berlin. I *Pol. Corr.* donosi z Petersburga, że teraz już w tamtejszych dyplomatycznych kołach uważają zjazd za możliwy i że on będzie dowodem, iż pomimo wszystkiego, co w ostatnich czasach „wypisywano“ — a więc pomimo artykułów o odbudowaniu Polski, o pognębieniu Rosji ekonomicznem, o nieuniknionej wojnie z Niemcami i t. d. — stosunki między berlińskim a petersburskim rządami nie są takie, iżby monarchom przykro byłoby się spotkać. Ale czy ten zjazd odbędzie się p o m i m o tych artykułów? Może raczej właśnie dla tego, że one były?

Mowa tronowa, wypowiedziana przez Najj. Pana podczas przyjęcia obu delegacyj w sobotę, wywrze niezawodnie bardzo uspokajający wpływ na sfery polityczne tak w naszej Monarchji, jak i po za jej granicami.

Rozpatrując bowiem dzisiejszy stan rzeczy w Europie, przyjść musi każdy do przekonania, że po świeżem załatwieniu zatargu o kanał suezki, który był realną kością niezgody między Francją a Anglją, jest tylko jedna sprawa mieszcząca w sobie zarodki międzynarodowej burzy, mianowicie sprawa bułgarska. Zresztą na całem niebie Europy panuje zupełna pogoda. Nie ma ani jednej kwestji spornej, ani jednego powodu, czy to do jakichś rokowań, czy choćby do prostej wymiany korespondencji. Dyplomaci mogliby wszyscy rozjechać się za urlopem, taka cisza panuje na całem tem polu, na którem się rozwiązują zatargi międzynarodowe. Wprawdzie po horyzoncie Europy przesuwają się co chwila chmury wzajemnych nienawiści, kłębią się, gromadzą i zatrzymują się, a potem się rozpływają, aby za chwilę znowu się zgromadzić. Nikt nie zaprzeczy, że w tych chmurach tkwią elementa przyszłych wojen, zapewne nawet bardzo krwawych; każdy rozumie, że stan Europy jest niepewny, że to co jest dzisiaj, jest tylko przejściowem, poniekąd nienaturalnem, że atmosfera międzynarodowa jest duszną, że życie państw staje się w takich warunkach coraz bardziej nieznośnem; ale z tem wszystkiem każdy rozsądny człowiek widzi, że realnego objektu do zaczepki, do wojny do krwi rozlewu, nie ma zgoła żadnego. Jest ujadanie wzajemne dzienników, jest głucha walka na polu giełdowem i w taryfach celnych, jest pewien brak serdeczności w stosunkach towarzyskich niektórych dworów; moglibyśmy nawet pójść dalej i powiedzieć, że jest nadto pewne odwracanie się od siebie niektórych dworów; ale z tem wszystkiem zatargu żadnego nie ma, co więcej nie ma najmniejszego nawet pretekstu do napisania najniewinniejszej noty dyplomatycznej.

To też gdyby nie potrzeba utrzymania ciągłości w dyplomatycznych sprawach i gdyby nie obowiązek przygotowywania sobie aljantów i pomyślnych konjunktur na wszelki wypadek — i gdyby wreszcie nie sprawa bułgarska, to dyplomaci mogliby śmiało zamknąć swe biura i rozjechać się za urlopem. Taka cisza panuje w Europie — co prawda zła i złowroga, ale z tem wszystkiem cisza. Nic więc dziwnego, że pewien dyplomata uskarżał się niedawno przed jednym z naszych znajomych w Wiedniu, że kiedy z jego biura wychodziło dawniej po parę aktów dziennie, to teraz ekspedyt wykazuje zaledwie dwa lub trzy numera na miesiąc. Gabinety — rzec można — przestały ze sobą korespondować z braku materjału do korespondencji.

Jedna więc tylko jest kwestja, o której mogłyby pisać do siebie; — jeden jest tylko realny objekt, o któryby mogłyby zahaczyć wzajemne nienawiści; jeden punkt, który pomimo swej małoważności mógłby przy dobrej woli posłużyć za pretekst do wojny — to sprawa bułgarska.

Owóż o tej sprawie mówi mowa tronowa jasno i śmiało; dotyka jej bez obawy, a chociaż nie lekceważy jej wcale, nie podnosi jej przecież do wielkiego znaczenia. Oświadcza wyraźnie, że ma ona c h a r a k t e r l o k a l n y. wypowiada nadzieję, że tego charakteru nie straci, to znaczy, że nikt nie zechce zepchnąć na Europę tysiąca nieszczęść dla tego tylko, aby w tej drobnej sprawie stało się zadość po jego myśli — i wreszcie przewiduje, że uprawnione życzenia Bułgarów zostaną zaspokojone.

Wprawdzie nasuwa się tu pytanie; — co znaczą te „uprawnione życzenia Bułgarów“ i jak daleko one sięgają? Gdzie ich kres? Czy tam, gdzie Bułgarzy umieściliby go sami, a na co niezawodnie zgodziłaby się Anglja? Czy tam, gdzie widziałaby je skurczone i niepospolicie zredukowane ich opiekunka, ich orędowniczka, ich oswobodzicielka — Rosja? Zapewne gdzieś pośrodku widzi ich uprawnienie austrjacka mowa tronowa, gdzieś w tych granicach, które im zakreśla traktat berliński.

I właśnie to legalne i lojalne stanowisko Austrji jest jej siłą i daje prawo do owego spokoju i do owej pewności siebie, z jaką mowa tronowa wypowiada wiarę w pokój. Wiarę tę podzielamy my w zupełności i podziela ją każdy rozsądny człowiek, patrzący przedmiotowo na Europę i widzący, że realnego objektu do wojny nie ma, chociaż istnieją i gromadzą się coraz większe zasoby międzynarodowych nienawiści. Z tych nienawiści wyrośnie kiedyś wojna, kiedy? — tego nikt nie wie, albo raczej każdy może na to odpowiedzieć słowami Bismarka, że albo za dni 10, albo za lat 10 — ale na razie jest pokój, tak wielki, tak nawet ciężki, że gabinety nie mają zgoła tematów do wzajemnego ze sobą korespendowania.

Korespondencje.

Poznań 27 października.

(*Dr. K.*) Spór tu się toczy o to: Czy po bannicji języka naszego ze szkoły religja będzie wykładana po polsku, czy po niemiecku? — oto przedmiot sporu. Jedni dowodzą, że po niemiecku, bo już tu i ówdzie tak jest rzeczywiście; tak zwana *Amtssprache* króluje samowładnie w niektórych szkołach. Inni natomiast utrzymują, że to się dzieje nieprawnie i tak rozumują: rząd nie chce walczyć z katolickim Kościołem, który w interesie religijnego wychowania ludu musi się domagać całkiem zrozumiałego dla dziatwy wykładu religji; zatem w pruskich szkołach niemiecka młódź będzie się uczyła religji po niemiecku, a polska — po polsku.

Mojem jednak zdaniem upuszczają w tym sporze z oka jedną okoliczność. Skoro dzieci nikt nie nauczy czytać po polsku, to jakże się one będą uczyły z katechizmu napisanego tym językiem? Po co tu filozofować? Bannicja języka naszego jest całkowita, rozporządzenie królewskie należy rozumieć dosłownie, nie trzeba więc szukać jakichś adwokackich wybiegów, lecz do obrony szukać zasadniczych środków.

Już same nominacje na nauczycieli religji dają jasną odpowiedź, że właśnie niemieckie będą wykłady religji. Do seminarjum paradyskiego posłano na profesora ks. Krekelera, nie umiejącego ani słowa po polsku, a oto teraz tutejszy urzędowy organ ponosi, że „ks. Klosske zatrudniony dotychczas przy kościele Św. Mikołaja w Berlinie, otrzymał nominację na wyższego nauczyciela i profesora religi i w poznańskiem królewskiem gimnazjum Marji Magdaleny i urząd swój obejmie od 1 listopada“. Ks. Klosske, kapłan prawy, w przeszłym roku sam mnie mówił, że się nauczył mówić „panie dobrotscheu“; czy dziś więcej umie, tego nie wiem, wątpię jednak, iżby tyle się wykształcił w naszym języku, żeby mógł w nim wykładać.

Te dwie nominacje z innego jeszcze powodu są charakterystyczne: widać rządową tendencję do obsadzania u nas stanowisk kościelnych ludźmi zupełnie obcymi, z innych dyecezji. Czy to dobrze? Czy na to może pozwalać ks. arcybiskup? Wszakże tu idzie o utrzymanie przyjętej w katolickim Kościele zasady, że duchowni kierownicy powinni znać społeczeństwo dla którego pracują. Wiem, że trudno walczyć z pruskim rządem i z nadzieją na zwycięstwo, ale przecież trzeba pamiętać, że precedensa są nader niebezpieczne.

Kolonizacja pruska chroma coraz widoczniej; daremnie pisma niemieckie ludowe i odezwy landratur zwołują niemieckich Michlów do szukania u nas szczęścia; Michle nie chcą ryzykować; aż nad brzegi Renu i het aż do Szwabji dosięgła fama, że te dobrodziejstwa, jakie u nas koloniści znajdą, to wszystko gruszki na wierzbie. Jeśli pruskiej komisji nie wyratują z kłopotu Szwabi wypędzani z Rosj i z Siedmiogrodu, to kompromitacja nieuchronna. Ale to nic nie martwi członków komisji, a naturalnie i rządu. Zamiast niemieckich kolonij będą dobra koronne; to nawet lepiej dla różnych Perkhunów, chciwych dobrych posad administratorów.

Może to się dziwnem wydać, że lubo w Niemczech bezsprzecznie istnieje „głód ziemi“, jednakże nikt się o naszę nie kwapi z Michlów. Jednak to zrozumiałe.

Komisja wykupiła majątki zdewastowane, albo mocno zaniedbane. Sprężysty i inteligentny rolnik, prowadzący gospdarstwo racjonalnie, z kredką w ręku i z hamulcem na swe zachcianki, może pomimo bardzo w istocie ciężkich dla rolnictwa czasów teraźnijszych utrzymać się przy ziemi i nie dawać samemu sobie sromotnego policzka, jakiem jest oddanie ojczystej ziemi wrogowi, który wyraźnie głosi, że po to tę ziemię kupuje, by snadniej nas zgładzić. Więc tedy nabyte przez komisję grunta są zniszczone. Jakiż jest materjał kolonizacyjny? Składa się on przeważnie z ludzi całkiem ubogich, którzy więc wkładów robić nie mogą na mozolne i kosztowne drenowanie i oczyszczanie gruntów; z ludzi nie najlepszego charakteru, boć kto się puszcza w obcy kraj, wdziera w nieznane społeczeństwo po to jedynie, żeby zdobyć parę morgów, ten gra na loterji, woli hazard jak usilną pracę.

Przypuściwszy, że między kolonistami znajdzie się pewien procent pracowitych jednostek a przytem zasobnych o tyle, że niezbędne wkłady będą mogły porobić, zostaje rozważyć: czy się im opłacą i te wkłady i te mozoły, które przez pierwsze, najtrudniejsze lata nie dadzą procentu, tj. nie dadzą środków do życia. Parcele liczą po 50 do 120 morgów. Za morg magdeburski płacą koloniści ratami po 210 marek — (morg magdeburski jest mniejszy od naszego; za kawał ziemi wielkości naszego morga wypada, że musieliby płacić 200 złr. przyp. red. *Przegl.*) i obowiązani są własnym kosztem wystawić budynki. Obejmując kolonję, kolonista z góry płaci rządowi $^1/_3$ szacunkowej wartości; resztę spłaca ratami półrocznemi, dołączając do długu $3^1/_2\%$. Po postawieniu budynków, kolonista otrzymać może pożyczkę na nie pod warunkami istotnie dogodnemi. Wygląda tedy tak, że za bezcen staje się kolonista właścicielem obszernej fermy. To zrazu zachęciło bezrolnych wieśniaków niemieckich; przybyło ich tyle, że obsadzono całą rozparcelowaną wieś Szlązkowo — najpiękniejszą z kupionych przez komisją. Ale wnet pokazało się, że z procentami trzeba ratę zapłacić, a tu nie ma skąd; rząd udzieli prolongaty, ale przecież nie daruje raty, dług więc rośnie, procenta się mnożą; gospodarstwo niesie 3%, a tu trzeba na sam procent od długu $3^1/_2\%$ Otóż tedy koloniści szlązkowscy przeklinają rząd i komisję, mówią, że wszystko rzucą i pójdą do Ameryki, gdzie z tym groszem, co go z sobą przynieśli, w lepszych stanęliby warunkach.

Powiedziałem, że kolonista nie może liczyć na większy dochód jak 3%. Wyda się to może za mało, ale zapewniam, że więcej nie może przynieść nawet chłopskie gospodarstwo, ale wyłącznie zbożowe. Niesie więcej ziemia niedaleko miast i miasteczek; tu uprawa warzyw i nabiałowe gospodarstwo dają dobry procent. Ale wszystkie wioski zakupione przez komisję niemiecką leżą daleko od miast. Jeśli pod miastem sprzedaje się jakaś wieś, w oka mgnieniu kupują ją nasi chłopi i płacą lepiej, niż komisja, bo budynków stawiać nie potrzebują, inwentarz żywy i martwy mają gotowy, długu nie zaciągają, więc go spłacać z procentami nie potrzebują, a nadto wszystko: mniejsze mają wymagania.

Przed laty włościanin nasz stał pod względem trzeźwości, oszczędności i wiedzy rolniczej o wiele niżej od niemieckiego wieśniaka; dziś nie ustępuje mu pod tymi względami, nieraz przewyższa, a zawsze góruje nad nim znajomością miejscowych warunków i stosunków. Więc też wewnętrzna nasza kolonizacja, rozumnie przeprowadzona ma znacznie więcej widoków powodzenia od kolonizacji niemieckiej, mimo olbrzymich środków materjalnych komisji kolonizacyjnej pruskiej. Niestety, działalność nasza na tem polu dotąd prawie żadna. Zawiązała się wprawdzie w jednym powiecie spółka obywatelska z celem parcelowania ziemi i sprzedawania jej naszym chłopom, ona coś rzeczywiście robi, rozparcelowała już parę folwarków, ale jakoś naśladowców nie znajduje. Już częściej się zdarza, że sami chłopi całą wieś zakupują i potem się dzielą. Ale do tego potrzeba zgody wszystkich we wsi kapitalistów, a o nią najtrudniej. Parcele znajdą zawsze nabywców — nie ma obawy, że dwie, trzy się sprzedadzą, a reszta zostanie w rękach właściciela, który nie będzie wiedział co począć z tą rozrzuconą ziemią. Więc dla czegoż nie parcelują sami właściciele?

Oto dla tego, że za dużo naraz spadło na nas ciosów. Jesteśmy oszołomieni, senni, jak zawsze Polacy po klęsce. Ockniemy się... bodajby nie zapóźno!

Z Koła Polskiego.

Od sekretarjatu Koła polskiego otrzymujemy następujące pismo:

Koło poselskie polskie na posiedzeniu w dniu 25 t. m.. powzięło uchwały względem spraw, mających być na porządku dziennym następnych posiedzeń Izby.

Mianowicie uchwaliło na propozycję przewodniczącego, aby wniosku ks. Hohenlohego, żądający przedsięwzięcia przez rzad środków dla zapobieżenia nędzy, grożącej w Gorycji i Gradysce, nie uchwalać zaraz w Izbie, lecz żądać przekazania go komisji budżetowej z poleceniem zdania sprawy na następnem posiedzeniu. Następnie Koło zastanawiało się nad zmianami poczynionemi przez Izbę Panów w projekcie ustawy uchwalonym przez Izbę poselską, o zabezpieczenie robotnikom utrzymania i pomocy lekarskiej w razie choroby.

Uchwalono zgodzić się na drobne lub stylistycze zmiany, uczynione przez Izbę panów w §§. 13, 14, 17, 18, 64, 65, 76 i 77. Przy przedstawieniu zmiany, uczynionej w Izbie panów w §. 8, że w razie umieszczenia chorego robotnika w szpitalu pewszechnym, kasa asekuracyjna ma w zasadzie zwracać koszta leczenia nie za 20, lecz tylko za 4 tygodnie, jeżeli statut kasy nie orzeknie, że za dłuższy czas ma płacić, wywiązała się dłuższa dyskusja, w której zabierali głos pp. Biliński, Chrzanowski, Grocholski, Niemczynowski, Lewakowski Karol i Kopyciński, po czem przyjęty został wniosek Bilińskiego, aby głosować za tą zmianą. Natomiast postanowiło Koło głosować przeciw zmianom poczynionym przez Izbę panów przy §§. 42 i 49.

Główną jednak dyskusję w Kole, w której zabierali głos posłowie Biliński, Grocholski, Chrzanowski i Wład. Czaykowski, wywołał §. 3, mianowicie zmiany poczynione przez Izbę panow. Izba poselska postanowiła, iż uchwalenie ustawy o zabezpieczeniu robotników rolniczych i lasowych na wypadek choroby, pozostawionem być ma ustawodawstwu krajowemu. Izba panów opuściła ten ustęp, zostawiając kwestję kompetencji do uchwalenia ustawy dla robotników rolniczych i lasowych niby otwartą, a dodała, iż jak długo obowiązek zabezpieczania robotników rolnych i lasowych nie weidzie w życie, mogą oni za zgodą ze swym chlebodawcą wstąpić do kasy chorych dla robotników fabrycznych; to samo mogą zrobić robotniey przemysłu domowego. Koło uchwaliło jednomyślnie głosować za pierwotną uchwałą Izby poselskiej, zastrzegającą kompetencję sejmów krajowych, ale przyjęło dwa powyższe dodatki Izby panów o możności przystąpienia robotników rolniczych, lasowych i przemysłu domowego do kas dla robotników fabrycznych.

Na następnem posiedzeniu Koła polskiego d. 28 b. m. odbytem, przewodniczący Grocholski opowiedział tok rokowań i działań komisyj parlamentarnych stronnictw prawicy w sporze toczącym się między Klubem posłów czeskich a rządem, z powodu znanego postanowienia, podpisanego przez ministra Gautscha, o zniesieniu czterech gimnazjów realnych w Czechach i Morawie, oraz o rokowaniach posłów czeskich z rządem, o ile te były komisjom parlamentarnym znane, a które to działania i rokowania komisyj parlamentarnych całej prawicy w tej sprawie, dalej trwać mają. Koło po dłuższej poufnej dyskusji odrzuciło bardzo przeważną większością wniosek posła Hausnera: „Koło polskie uprasza i upoważnia swego przewodniczącego, aby oświadczył Klubowi czeskiemu, że Koło polskie znosze nie szkół średnich lub odmówienie im subwencji, na którą Rada państwa uchwaliła wydatki, drogą rozporządzenia uważa za nieprawidłowe i usiłowania ku usunięciu tych rozporządzeń popierać będzie“. Natomiast uchwaliło Koło prawie jednomyślnie wniosek pos. Jaworskiego: „Koło polskie przyjmuje sprawozdanie przewodniczącego na teraz do wiadomości“, oraz dodatek pos. Czartoryskiego: „z uznaniem gorliwych usiłowań przewodniczącego w celu utrzymania jedności między stronnictwami prawicy i popierania słusznych żądań sprzymierzeńców“.

Na początku tego posiedzenia przedstawił przewodniczący Kołu nowo wybranego posła Struszkiewicza.

Posiedzenie

komitetu budowy pomnika A. Mickiewicza w Krakowie d. 29 października 1887 r.

O b e c n i: przewodniczący prezydent m. dr. Szlachtowski; członkowie komitetu pp.: Baranowski, Friedlein, dr. Jakubowski Faustyn, dr. Jordan, dr. Łepkowski, dyr. Łuszczkiewicz Wł., dr. Majer Józef, Muczkowski, Ożóg, Pryliński, hr. Przeździecki Konstanty, hr. Potocki Artur, Rzewuski Walery, dr. Sokołowski Marjan, hr. Tarnowski Stanisław, dr. Weigel Ferdynand.

Reprezentanci młodzieży: Albinowski, Hupka, Jankowski i Jaworski.

Po odczytaniu protokołu i pism kilku członków, usprawiedliwiających swą nieobecność, zabrał głos w imieniu komisji, wydelegowanej na ostatniem posiedzeniu do przygotowania odpowiednich wniosków pod obrady dzisiejszego posiedzenia dr. F. J a k u b o w s k i, jako sprawozdawca większości komisji i uzasadnił wniosek: „Przelać władzę, jaką posiadał w imieniu komitetu ś. p. Zyblikiewicz, na Wydział krajowy“.

W imieniu mniejszości komisji przedstawił dyrektor Ł u s z c z k i e w i c z wniosek: „Władzę, nadaną ś. p. Mikołajowi Zyblikiewiczowi, przelać na 5 wybrać się mających członków, zamieszkałych w Krakowie i obeznanych z warunkami sztuki“.

Członek komitetu p. J a w o r s k i Wł. postawił samodzielny wreszcie wniosek, aby pełny komitet zatrzymał swą władzę i sprawę, jaka mu powierzoną zotała, do końca doprowadził.

W dyskusji zabierali głos pp. B a r a n o w s k i, dr. W e i g e l, hr. K. P r z e ź d z i e c k i, dr. M a j e r, F r i e d l e i n, wreszcie dr. F. J a k u b o w s k i.

Na 21 głosujących utrzymał się wniosek dyrektora Ł u s z c z k i e w i c z a (mniejszości komisji) 13 głosami o przelanie władzy pełnego komitetu na komisję, złożoną z 5 członków.

Po zawieszeniu posiedzenia celem porozumienia się na 20 minut, przystąpiono do wyboru pięciu członków komisji, którego rezultat następujący:

Głosowało 21; większość bezwzględna 11; absolutną większość otrzymali: prof. Z a c h a r j e w i c z Juljan (ze Lwowa) 19 głosów, hr. P r z e ź d z i e c k i Konstanty 17 głosów, hr. P o t o c k i Artur 14 głosów, M a t e j k o Jan 13 gł., Władysław J a w o r s k i 10 głosów. Gdy ostatni nie otrzymał absolutnej większości, przystąpiono do ponownego głosowania, w którem wybrano p. Władysława Jaworskiego. Po nim otrzymał największą ilość głosów p. Walery Rzewuski.

Hr. P o t o c k i Artur, przyjmując wybór, żąda określenia należytego atrybucyj wybranej komisji, aby w przyszłości zapobiedz nieporozumieniom.

W tym względzie dyrektor Ł u s z c z k i e w i c z wnosi:

1) Wszelkie dotychczasowe uchwały komitetu nie wiążą nowo wybranego komitetu z pięciu;

2) atrybucje dotychczasowego pełnego komitetu ograniczają się nadal: a) do sprawdzenia rachunków budowy i odebrania wzniesionego pomnika; b) do wydania uchwał w takich wypadkach, gdyby komitet z pięciu ich zażądał.

Członkowie H u p k a i O ż ó g przemawiają za ograniczeniem praw komitetu z pięciu w ten sposób, jak je miał przyznane sobie ś. p. Zyblikiewicz.

Członek R z e w u s k i przemawia za nieograniczoną władzą nowo wybranego komitetu.

W głosowaniu wnioski członka Ł u s z c z k i e w i c z a przyjęte zostały znaczną większością, jak i wniosek hr. P r z e ź d z i e c k i e g o

opiewający, że „w razie śmierci, dymisji lub nieobecności dłużej trwającej którego członka, komitet pięciu uzupełnia się przez kooptację".

Na tem zamknięto posiedzenie.

Klęska rolnicza.

(Z Rawskiego.)

Szanowna Redakcjo!

Z różnych okolic donoszą ziemianie o klęsce rolniczej, doznanej w bieżącym roku. Otóż i ja kreślę słów parę, aby dać poznać, że i u nas, jeżeli nie gorzej, to pewnie nie lepiej się dzieje.

Wiosna w tym roku późna i mokra nie pozwoliła w stosownym czasie dokonać zasiewów, tak że w maju dopiero kończono siać jęczmień, a w czerwcu wysadzać kartofle. Nastałe ciągłe deszcze, przeplatane burzami i gradami, poniszczyły wschodzące już owsy i jęczmienie, pozamulały kartofle i buraki i porobiły debry i rowy na równych nawet polach.

Wreszcie nadeszły żniwa. Żyto zebrano z małemi wyjątkami dosyć szczęśliwie, bo suche i niezrośnięte, chociaż namłotne nie będzie, gdyż z powodu deszczów podczas kwitnienia wiele kłosów jest szczerbatych a nawet pustych. Pszenica doznała o wiele gorszego losu, gdyż bez przerwy trwająca czterotygodniowa słota sprawiła, że tak będąca na pniu, jak i w półkopkach pozrastała i zczerniała, a słoma stała się prawie zupełnie nieprzydatną na paszę i chyba tylko na podściółkę użyć jej będzie można. — Jęczmień doznał również podobnego losu, gdyż leżąc na pokosach, częścią zrósł, a wszystek poczerniał, tak że tylko za bardzo lichą cenę zbyć go będzie można. — Najgorzej wyszedł owies, gdyż z powodu ogromnego braku robotnika w znacznej części na pniu się obsypał; wykoszony zaś zgnił na pokosach, tak że w niektórych miejscach wcale go nie zbierano, lecz na tem samem polu przeorano.— O hreczce nawet nie wspominam, bo się zupełnie w tym roku nie udała, i każdy co zebrał nasienie, może być zadowolniony; ale w wielu miejscach nie zebrano nawet tyle, ile wysiano.

Przychodzi kolej na koniczynę nasienną. W naszych stronach sieje się koniczyny dosyć dużo z braku dobrych łąk i udaje się zwykle wcale dobrze, bo ma grunt odpowiedni. W tym roku była również niezłą, ale ciągłe słoty tak ją do ziemi przybiły, że słoma na pół zgniła, a ziarno pozrastało; które zaś nie zrosło, to tak poczerwieniało i zestrupieszało, że z wielkich nawet łanów ani jednego korca celnego ziarna spodziewać się nie można.

Do 22 bm. padał deszcz ustawicznie, tak że żadnej roboty w polu rozpocząć nie było można, a zatem także i kopania kartofli. Od 22 mamy pogodę. To też przesuszono i zwieziono na pół zgniłą koniczynę i wzięto się do kopania kartofli. Jednakże silne mrozy przeszkadzają w pracy, tak że dzienną robotę zaczynać można dopiero około godziny jedenastej, a kończyć trzeba na godzinę przed zachodem słońca, gdyż w przeciwnym razie wydobyte kartofle zmarzłyby, a więc przechowane byćby nie mogły. Kopanie kartofli dopiero rozpoczęto i mało jest takich folwarków, gdzieby już paręset korcy kto wykopał; tymczasem tysiące korcy jeszcze pozostają w ziemi i nikt nawet nie śmie mieć nadziei, aby je mógł jeszcze przed zimą wykopać.

Buraki po większej części zmarzły.

Dziś, kiedy to piszę, barometr bardzo opada; tymczasem mróz trzyma tak silnie, jak dni poprzednich. Obawiać się zatem należy, że zamiast deszczu spadnie śnieg i pogrzebie nasze kartofle i buraki.

Nakoniec dodaję, iż niedość tego, żeśmy żadnego zboża w dobrym stanie zebrać nie mogli i że cena jego niesłychanie jest niska (6 zł. pszenica, po 4 zł. żyto, groch i jęczmień), ale jeszcze robotnik w tym roku dwa, a bodaj czy nie trzy razy droższy niż w latach poprzednich i to jeszcze trudno go dostać. Drożyzny tej i braku ludzi narobiła nam ustawiczna słota, a jak tylko błysła pogoda, to chłop sobie w domu robił i za żadne pieniądze nie można go było skłonić, aby szedł do dworu na robotę. Do tego zaś budująca się kolej Lwów-Bełżec również nam ogromną konkurencję robiła, bo płaciła dziennemu robotnikowi 80 ct. do 1 zł. 50 ct. Szli więc chłopi do kolei nawet z dalszych okolic, a w domu nie było komu kosić, ani żąć.

Z wysokim szacunkiem
Włodzimierz Towarnicki.

Ulicko zarębane 27 października.

(Z Przemyskiego).

Szanowna Redakcjo!

Słuszna zupełnie uwaga Szanownej Redakcji, iż niezbędnem jest, ażeby sfery kompetentne wiedziały o dotkliwych klęskach, jakie ponoszą rolnicy.

A jeżeli te klęski czynią ich stan majątkowy nader opłakanym w innych okolicach, to w trójnasób gorzej rzecz się ma w Przemyskiem, w którem nietylko pod względem podatku gruntowego „wyśrubowano", ale jeszcze w dodatku gorączkowa robota koło fortyfikacyj, równie pośpieszny „tok" robót około kolei Łupkowskiej, wreszcie bliskość miasta, powiększyły zwyczajny brak robotnika i jego wygórowaną cenę. Ciągła słota przerywa roboty w polu i nie daje porządnie ich wykonać.

Weźcie naprzykład obrazek mego małego gospodarstwa. Chmiel z powodu słót i braku rąk źle zebrany i za późno, a przeto nabywcy nie ma; przeszło 100 kóp pszenicy całkiem zgniło, a 120 kóp porosło, kartofle gniją w polu, tak samo się ma z burakami, których dużo się produkuje, a które dopiero zaczęto kopać. — Dzisiejszy mróz potężnie im dogodził, bo choć się je zbierze, to gnić w kopcach będą. Dodajmy do tego siew niesłychanie spóźniony, źle zrobiony, nieskończony.

Służba krnąbrna, niechętna, bo czuje się być skrzywdzoną obowiązkiem, iż ich koledzy przy torach kolejowych i obwarowaniach Przemyśla zarabiają po 1 zł. 30 ct i więcej dziennie, a każdy, gdy rok mu się skończy, odchodzi ze służby i idzie do owych robót dziennych, a w jego miejsce w żaden sposób innego parobka dostać nie można, przeto nietylko brak wielki rąk do zbierania plonów z pola, ale i do obsługi inwentarza żywego.

To co wyżej powiedziano, dzieje się w całej okolicy tutejszej. Wszędzie w polu konicze i potrawy gniją, o kartoflach mało kto jeszcze myśli, a buraki mrozem zwarzone stoją w polu.

Stan zatem rolników jest rozpaczliwy, nie do zniesienia, i doprowadzi do niewypłacalności tak podatków, jakoteż innych ciężarów, a nie tylko o żadnej pomocy krajowej ani państwowej nie słychać, lecz natomiast nowe podatki jak grzyby po deszczu wyrastają.

Przyjm Szanowna Redakcjo wyraz prawdziwego poważania z jakiem pozostaję
Stanisław Skalski.

Podmojsce obok Niżankowiec dnia 27/10 1887.

(Z Drohobyckiego).

Szanowna Redakcjo!

Stosownie do wezwania w *Przeglądzie* w nr. 242 umieszczonego, pośpieszam przedstawić również smutny obraz gospodarstwa rolnego w naszym powiecie, i tak: w tym roku wylew wód znaczną część sianożęci zniszczył, a przez nieustanne słoty do tej chwili nie pozbierano jeszcze w wielu miejscach owsa, niedojrzałej fasoli, bobów, grochu, wyki, prosa kukurudzy i koniczyny nasiennej. Otawy gniją na pokosach, kartofle, buraki, marchew, brukiew w bardzo małej części są wykopane, że tak powiem, prawie z błota. Co zaś do zasiewów jesiennych, to ledwie w połowie są załatwione, a to co posiano, to w mokrą rolę równie jakby w błoto rzucono. To też posiadacze małych gruntów, patrząc na taki nieprawidłowy stan roboty, są zrozpaczeni, wyczekują lepszej pory, która wszakże do zasiewów nawet przy sprzyjającej pogodzie, niestety — przyjdzie już za późno.

Taki stan jest u nas na nizinach, a patrząc na góry śniegiem już pokryte, wnosić trzeba, że tam jeszcze smutniej przedstawiać się musi stan rolników.

Zważywszy zatem, że stan rolniczy już od 10 lat jest nawiedzany różnemi klęskami; zważywszy, że co roku powiększane są podatki pod różnemi tytułami, nie zważając wcale czy ziemia je zniesie; zważywszy, że niska cena ziemiopłodów nie jest w stanie pokryć kosztów administracji, bo robotnik z każdym rokiem jest droższy, to w końcu każdy przecież musi przyjść do tego przekonania, że jeżeli sfery decydujące w obec tego groźnego stanu szybko nie przyjdą w pomoc ziemianom, a przedewszystkiem nie położą tamy wzrostowi podatków, z których znaczna część obracana bywa na takie cele humanitarne czy też filantropijne, których nie nasz ubogi kraj, ale jedynie tylko zamożne kraje pozwalać sobie mogą, — katastrofa jest nieunikniona, która za rolnikami całe społeczeństwo kraju do ruiny za sobą pociągnie. Na co tak rząd jak i władza autonomiczna obojętnem okiem patrzeć nie powinny, bo w takim wypadku siła podatkowa kraju upadnie. Z poważaniem
F. F.

Dnia 28 października 1887.

(Z Cieszanowskiego).

Szanowna Redakcjo!

Wyczytawszy w *Przeglądzie* mnóstwo skarg na tegoroczną biedę z różnych okolic kraju, sądzę, iż nie od rzeczy będzie, gdy od północnego kresu Galicji doniosę Wam o niepowodzeniach gospodarskich, jakkolwiek nie tak strasznych jak dotychczasowe korespondencje świadczą, niemniej jednak dotkliwych na razie przez to, że nie dopisał plon kartofli, a w przyszłości przez to, że spóźniły się zasiewy.

Co do żniwa, to jakkolwiek odbywało się ono z przeszkodami, przecież uskarżać się nie możemy, gdyż tak pod względem słomy, która jest u nas bardzo ważnym artykułem, jak niemniej i ziarna, mamy więcej jak w roku zeszłym. Żyto szampańskie i pszenica regenerowana zebrane i zwiezione do gumien przed deszczami, pszenica jara i większa połowa sandomierki była wprawdzie na deszczu, lecz już w kopach, więc nieznacznie, bo tylko na przewrósłach, porosły, najwięcej ucierpiała przez zrośnienie reszta sandomierki pozostała podczas deszczów na pniu. Jęczmień chociaż nie porósł, jednak poczerniał, więc strata tak w cenie ziarna jak i w jakości paszy; owies w większej części zebrany dobrze, nieznaczną tylko ilość kóp późniejszego zwieziono w stanie wilgotnym w drugiej połowie września wprost do młócarni.

Dotąd, jak widzicie, byłoby jeszcze pół biedy i aby nie wywoływać licha, wcalebym się nie uskarżał, ale zasiewy, które co roku 15 września kończymy, trwały w roku bieżącym do 2 października, rozpoczęte jak zwykle w dzień śgo Bartłomieja, — i tu jest największa klęska, bo nie lokalna lecz krajowa, wszędzie bowiem mniej więcej zasiewy tak wypadły, ziarno rzucono w ziemię mokrą, niedoprawioną, więc speranda bardzo wątpliwa, a szczególnie dla pszenicy nawet groźna. gdyż niezmiarka jeżeli się pojawi, to w zasianej późno; a jakkolwiek nie przesądzam, przecież myślę, że nie wielu gospodarzy pochwalić się mogą zasiewami wczesnemi, choćby już dla tego, że walka z żywiołami jest niepodobną.

Nieurodzaj kartofli jest niemniejszą dla nas klęską, bo od ilości tego artykułu zależy dłuższe lub krótsze pędzenie gorzelni, która jest racją bytu jako siła nawozowa dla gruntu, a jako pokarm dla inwentarza. Otóż jak się ze zbioru okazuje, mniejszy jest od zwykłego o jednę czwartą, a na domiar pomimo tak znacznego niedoboru $1/6$ jeszcze nie wykopano. Zamarzła w ziemi, tak iż nietylko wykopać gracą, ale i pługiem wyorać się nie da.

W końcu nadmienić muszę, że jeżeli się nam udało lepiej i prędzej dary Boże pozbierać, jak to się z innych korespondencyj okazuje, zawdzięczyć możemy tutejszemu robotnikowi, chętnemu, pilnemu, przyzwyczajonemu do robót zakładowych, a przytem pozostającemu w bardzo dobrych stosunkach ze dworem. Z poważaniem
Bolesław Poraj.

W Narolu 28 października 1887.

(Z Sokalskiego.)

Szanowna Redakcjo!

Czytam w Jej piśmie nadsyłane zewsząd sprawozdania o ciężkich i trudnych zbiorach tegorocznych. Stąd też pośpieszam również z szkicem kłopotów, z którymi i my zaciętą walkę staczaliśmy, prosząc uprzejmie o podanie do wiadomości — skoro Szanowna Redakcja uzna za stosowne; mówię tu o folwarku w Krystynopolu. Styrkoryzacja gruntów tutejszych jest tego rodzaju, że można z nich czerpać jak w Kalifornji — do czego nie koniecznie potrzeba, wyrażając się modnym językiem, „roku urodzajnego." Nic też więc dziwnego, że patrząc na falujące zbożem łany imaginowano sobie rok niezwykły, który w rezultacie okazał się bardzo niezwykłym, tak z powodu słoty i nadzwyczaj trudnego robotnika, jako też w końcu wielkiej masy słomy, a mało i dość lichego ziarna.

I tak razem kóp miałem: żyta 700, pszenicy 2.050, jęczmienia 2.100, grochu 112 fur, owsa 960 i 30 sążni otawy. Z tego zwiozłem przed deszczem: żyto rozumie się wszystko, pszenicy 1.700 kóp, jęczmienia 1.900 kóp, owies wszystek, potraw całą, groch nie tykany został na pniu cały tydzień, po tygodniu było dwa dni pogody, więc w tych dwóch dniach uchwyciłem groch rozumie się niewiązany, który na pniu pozostał i dołem gnił; że zwiozłem jęczmień przed deszczem, to tylko dla tego, że musiałem się bardzo śpieszyć, ponieważ na jęczmienisko miałem wozić nawóz i siać pszenicę a secundo, że wskutek kilkodniowych również niezwykłych upałów, nadzwyczaj szybko jęczmień doszedł — tak, że kosą niepodobna było w dzień zbierać, przeto kosiłem w nocy, przy księżycu, a w dzień zbierałem sierpem, wskutek czego zyskując podwójnie na czasie — jęczmień ocaliłem; resztę zaś (200 kóp) jęczmienia, który na swoich barkach przetrzymał całą słotę, został w części uratowany, ponieważ porozstawiałem go, sztorcując snop przy snopie, a porósł tylko ten, który został wiatrem powalony na ziemię.

Co do 400 kóp pszenicy, górnych pięć snopów porosło zupełnie na każdym półkopku — i te kopy, które były źle składane albo powalone wiatrem. Płaciłem za kopę od 16 do 20 centów, kosarza 40 centów w dzień, 60 ct. w nocy. O kartoflach, których miałem morgów 95, wykopanie takowych ukończyłem 22 b. m. korcy 8.700 na małą miarę, płacąc za polną miarę najpierw po 12, a następnie po 8 centów za korzec. Zostaje mi tylko jeszcze w połowie przeorywanie kartoflisk. Na gruntach piaszczystych morg wydawał do 120 korcy i bardzo ładnych kartofli, zaś na glinach zaledwie po 65 korcy i to bardzo drobnych.

Oziminy późniejsze są bardzo obiecujące, najpóźniejsze jeszcze nie powschodziły. Z obawy mrozów. w kartoflisku zamast pszenicy siałem żyto. Bardzo szybko i silne zbierają się mrozy. Niepodobna przed 10tą godziną ruszyć pługiem; ziemia zamarza do 8 ctmr. Jest to zaiste bardzo smutna perspektywa dla niewykopanych dotąd kartofli, a o zimowej orce zda się trzeba zapomnieć.

Z wysokiem poważaniem
Agenor Łobodziński,
rządzca dóbr.

Krystynopol 26 paźdz. 1887.

Delegacje.

Wiedeń dnia 29 października.

Na przyjęciu austrjackiej delegacji u Najj. Pana, które się odbyło stosownie do programu o godzinie 2 w południe, wygłosił prezydent delegacji hr. Reverten następującą przemowę:

„Wasza Cesarska Mości! Najjaśniejszy Monarcho! Najmiłościwszy Panie!

Delegacja wysłana przez obie Izby Rady państwa stosownie do najwyższego rozkazu zebrała się, aby wysłuchać oświadczeń wspólnego rządu, zbadać jego przedłożenia i konstytucyjnie je załatwić.

„Uznaje ona jako patrjotyczny swój obowiązek, przyzwolić rządowi Waszej Ces. Mości na te środki, dzięki którym, jakkolwiekby się złożyły stosunki zewnętrzne, mocarstwowe stanowisko państwa nie doznałoby żadnej ujmy.

„Delegacja zwróci mianowicie całą swą uwagę na potrzeby wspólnej armji i floty i będzie niewątpliwie gotowa ponieść na korzyść ich bojowej zdolności każdą taką ofiarę, która nie wykracza po za granicę sił podatkowych ludności przywiązanej zaprawdę całem sercem do tronu.

Jakkolwiek zaś potrzeba pokoju zapuściła głęboko korzenie w sercach wszystkich i jakkolwiek cała Austrja tak żywe składa dzięki Waszej Ces. Mości za utrzymanie dla niej pokoju mimo groźnych stosunków przez cały lat szereg toć nikt zataić tego nie może, jak niebezpiecznem by to było, dać się uprzedzić w zbrojeniach dokonywanych wszędzie z gorączkowym pośpiechem.

„Delegacja Rady Państwa ożywiona jest tedy tą pewnością, że nie będzie jej zbywało na uznaniu ze strony wszystkich lojalnych Austrjaków, jeśli poprze rząd wspólny przez utwierdzenie go w pokojowej pracy tem zapewnieniem, iż w razie potrzeby nie zabraknie mu także odpowiednich środków dla należytego zadokumentowania praw monarchji.

„Niezłomnie ufając mądrości i potędze Waszej ces. i król. Mości, prosimy Boga, aby Waszego majestatu bronił i utrzymywał go dla dobra zjednoczonych pod berłem Wasz. ces. Mości ludów".

Najjaśniejszy Pan odpowiedział na to, jak następuje:

„Dziękuję Panom za zapewnienia wiernej uległości, którą właśnie wypowiedzieliście. Sprawiają Mi one zawsze szczerą radość.

„Z zadowolnieniem wskazać mogę na to, że zewnętrzne stosunki monarchji nie zmieniły się, lecz pozostały korzystne i pocieszające, jak niemniej, że wytrwale przez Mój rząd prowadzona polityka, która dąży do utrzymania pokoju i stanu prawnego, opartego na traktatach, znajduje nietylko uznanie, lecz także poważne poparcie.

„Kwestja bułgarska ku Memu ubolewaniu nie doszła jeszcze do rozwiązania; oddaję się jednak chętnie nadziei, że ona także nadal zachowa charakter lokalny i ostatecznie zostanie załatwiona w sposób, który pogodzi dopuszczalne życzenia Bułgarów z europejskiemi traktatami.

„Jakkolwiek Europę opanowuje dotąd jeszcze uczucie niepewności, skutkiem czego rząd Mój zmuszony jest baczyć na to, aby nie dać się ubiedz w trosce o zbrojną siłę monarchji, to usprawiedliwionem z drugiej strony jest przypuszczenie, że gorliwe usiłowania i ścisły związek między państwami zastępującymi interesa pokoju, nie dopuszczą i nadal do zakłócenia go w jakikolwiek sposób.

„Dzięki Waszej patrjotycznej ofiarności, można było w tym roku rozpocząć zaopatrzenie wojska nową bronią.

„Dla dalszego przeprowadzenia uzbrojeń, będzie starał się rząd Mój, który na rok przyszły musi w większej niż dotąd mierze zażądać potrzebnych na ten cel środków — o to, aby podwyższony kredyt o ile możności zmniejszyć przez dopuszczalne środki administracyjne.

„Wydatki na zarząd Bośnji i Hercegowiny były również w tym roku pokryte wyłącznie własnymi tych krajów dochodami a nadto także w tym roku przewidziane jest dalsze zmniejszenie kredytu potrzebnego na utrzymanie wojsk w Bośnji i Hercegowinie.

„Przekonany o ten, iż do zbadania przedstawionych wam przełożeń przystąpicie ze stwierdzoną tylekrotnie sumiennością i patrjotyczną gorliwością, życzę Waszym pracom pomyślnego skutku, a Was samych serdecznie pozdrawiam".

Mowę tronową przyjęto w wielu ustępach, a zwłaszcza w tym, który zapowiada utrzymanie pokoju, burzą oklasków.

. . . .

Godzinę przedtem (o 12 w południe) przyjmował Najj. Pan delegację węgierską, w imieniu której przemawiał prezydent delegacji kardynał Haynald.

Mówca podniósł z naciskiem, że delegacja, równie jak ukochany Monarcha, zajmuje się żywo niekorzystnem materjalnem położeniem ludu węgierskiego, walczącego z licznemi niepowodzeniami, niemniej jak i jego rozwojem na polu postępu i ciągłem podnoszeniem się nauk i sztuk pięknych. Delegacja wie, że usiłowania na polu przemysłu muszą zmienić na lepsze dzisiejszy niekorzystny stan ekonomiczny i że niezbędnym tego warunkiem jest oszczędzanie materjalnych sił narodu.

Z drugiej strony zważać należy na pierwszorzędne stanowisko monarchji, na jej potęgę i niezbędną dla utrzymania pokoju gotowość do wojny. Dla tego też, skoro po obustronnem rozpatrzeniu sprzecznych poglądów jawnie się okaże czego rozwój siły zbrojnej nieodzownie wymaga, nie podobna będzie odmówić rządowi środków potrzebnych do dopięcia powyższego celu, o ile dla zapewnienia środków obrony nie wymaganoby zrzeczenia się tych dóbr, których właśnie bronić pragniemy. Delegacje zastanowią się bacznie nad wnioskami rządu i uwzględnią interesa tronu i państwa, pamiętając o sławie i dobrobycie ludów. Mówca zakończył rzecz swą, wzywając błogosławieństwa niebios dla króla i dynastji.

Odpowiedź Najj. Pana była tej samej treści, co mowa tronowa wypowiedziana w obec delegacji austrjackiej. Ustępy o pokoju i sprawie bułgarskiej przyjęli węgierscy delegaci gromkiemi okrzykami: Eljen!

Przyjęcie zakończyło się cerclem, podczas którego Najj. Pan uprzejmie rozmawiał z delegatami, poruszając w swej rozmowie wiele ważnych kwestyj.

KRONIKA.

Lwów, dnia 31 października.

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej Swej szkatuły konwentowi OO. Franciszkanów w Sanoku, na restaurację klasztoru, zapomogi w kwocie 200 zł.

JE. p. Marszałek krajowy, hr. Jan Tarnowski, wyjechał na dni kilka do dóbr swoich w Dzikowie.

JEksc. dr. Kazimierz Grocholski, czcigodny prezes Koła polskiego, — wyjechał wczoraj z Wiednia do Abbazji.

O. Bonifacy Jastrzębski, magister nowicjatu Zakonu OO. Bernardynów we Lwowie, mianowany został kustoszem tutejszego klasztoru, a to na podstawie elekcji prowincjała i aprobaty z Rzymu nadeszłej. Godność tę objął obecnie O. Bonifacy po ks. Norbercie Golichowskim.

Dzień zaduszny. Powszechna wiara w świat pozagrobowy, najwymowniej manifestuje się w tym dniu zadusznym. Czujemy i pojmujemy bez żadnych dowodów i rozumowań, że życie nasze nie skończy się u grobu, że jest przejściem tylko do innego świata; że grób, to jakoby kolebka odrodzenia, gdzie spoczywa dziedzic królestw nadziemskich. Nic też dziwnego, że tę cichą kolebkę umaja sztuka w dzieła piękne, uwieńcza kwiatem zewnej modlitwy. Stroimy groby drogich nam umarłych, gdyż one choć są przybytkiem ziemskiej śmierci, są jednak nieśmiertelnego żywota poczęciem.

Ale dzień zaduszny, to nie dzień strojenia grobów, to dzień modlitwy, i miłosierdzia dla duszy umarłych, dla dusz cierpiących w czyśćcu. Więc w tym dniu modlimy się za umarłych.

Już w dniu Wszystkich świętych przez długą ulicę Piekarską wśród tłumu z trudem posuwać się można naprzód na cmentarz Łyczakowski, cóż dopiero na cmentarzu? Tam cała ludność z miasta się przenosi, opuszcza mieszkania żywych, aby zapełnić mieszkania umarłych. Jakaż to cześć pobożna, rzekniesz sobie, tu ich przyprowadza? Chcesz się jej przypatrzyć, jakie to głębokie uczucie pamięci, i miłości dla umarłych? Spozierasz wszędy, wszędy widzi się kwiaty, albo jakoby kwiaty, jakoby wieńce i świateł mnóstwo nie przerachowane. Cóż to wszystko znaczy? Gdzie tu pobożność, gdzie tu modlitwa? Gdzie tu pamięć o potrzebach tych dusz? Szukasz, zapewne znajdziesz klęczących na grobie rodziców, lub żon, lub dzieci drogich, i modlących się szukasz... Nie znajdziesz, doprawdy nie znajdziesz ani jednego. Jakże dawniej było inaczej! jeszcze my pamiętamy, jak u nas w Polsce modlono się za umarłych, i właśnie w dzień zaduszny na cmentarzu modlitwa była rozlana po wszystkich postaciach ludzkich. A tu? Co będziesz widział? Oto chodzą ludzie i chodzą śród pomników i świateł, chodzą po wszystkich stronach, jak jakieś błędne istoty, bez żadnego celu w tem, co czynią; chodzą, zatrzymują się, przypatrują, gwarzą, śmieją się, i znowu chodzą. [illegible] albo na jakiejś zabawie, jak na każdej zabawie, ludzie się nudzą, i nie wiedzą, co z nudów robić. I cóż znaczą te wieńce? Tyle, ich tyle: z blachy, z płótna, z perkalu, z papieru, już nie wiem z czego są, nareszcie z kwiatów prawdziwych! A wszystko takie olbrzymy, że aż karykatury, jeden ogromniejszy nad drugiego, i każdy z nich, druh do druha zdaje się mówić: a jam większy od ciebie, a jam od ciebie piękniejszy, a jam droższy od was wszystkich. Lecz to nie one nieme niewinne istoty tak do siebie mówią; to ich właściciele tak myśleli o nich i za nich. Inaczej nie wysilaliby się na takie dziwy, w których nie ma ani gustu, ani wiary, ani pobożności, ani co najgorsza — ani miłosierdzia dla dusz zmarłych. Więc cóż znaczą te wieńce? Ja tylko jedno widzę; widzę jak błyszczy próżność, która nieraz drogo kosztuje, a która, zamiast pomocy, jest dla dusz nową tylko męką. Ach, gdybyś rzucił na grób nieboszczyka drogiego kilka żywych świeżych kwiatów, któreby cię nie kosztowały, gdybyś mu splótł skromny, jasny uśmiechający się wianek, któryby cię tylko kosztował pracę rąk twoich, tobym rozumiał, tobym pochwalił, toby mnie zachwyciło. Toby mi pokazało, że i twoje serce tak żywe jak te kwiaty, i jak twoich rąk praca. Ale teraz muszę powiedzieć, że tylko jedno widzę w tobie żywe, twoję próżną myśl; natomiast twoja miłość dla zmarłego, twoje serce tak martwe jak ten wieniec, któryś mu położył, dzieło rąk najemniczych. Lecz zapędzam się może za daleko, i wolałbym, żeby było za daleko! Trzeba pamiętać, że to już zwyczaj, że to jakaś dziwna importacja z zagranicy, że w powszechnem otumanieniu rzadko kto się zdobędzie na jasne widzenie! Niech i tak będzie! Lecz wtenczas muszę z czem innem się odezwać; muszę zawołać, że nie ma wiary. Co twoje wieńce pomogą umarłemu? Po co ten grosz marnie tracimy? Jeśli idzie o zewnętrzną pamięć dla umarłego, to już rzekłem, lepiej zaświadczą twoją ręką zerwane choćby polne kwiatki, a ty jeśli chcesz pomódz jego duszy, masz coś lepszego do czynienia: masz modlitwę, masz jałmużnę, masz posty, masz msze św., masz komunję, masz odpusty, masz inne dobre uczynki. Czyń, czyń ich jak najwięcej. Zasługi zostaną przy tobie, a zadośćuczynienia pójdą na korzyść drogich dusz. Wtedy im dopomożesz, wtedy im okażesz prawdziwą wewnętrzną pamięć, miłosierdzie, i miłość. Oby tak było!

X. Adolf Bakanowski.
C. R.

Bułgarscy studenci we Lwowie. W sprawie przyjęcia jakiego doznali studenci bułgarscy we Lwowie, a poruszonej przez naszego korespondenta w Gałacu, otrzymaliśmy list następujący:

Szanowna Redakcjo!

W numerze 246 dziennika waszego spotykamy ciekawą korespondencję z Gałacu pod dniem 23 października. Wspomina ona między innemi o nas, Bułgarach, słuchaczach tutejszej szkoły weterynaryjnej. Oprócz tego, Szanowna Redakcja, w rubryce „Kronika" sprawdza jej treść o stosunku naszych kolegów Polaków i szanownych pp. profesorów do nas. . . . .

Chętnie przyznajemy, że Szanowna Redakcja przy tej sposobności wylała szczerą sympatję szlachetnego Narodu Polskiego względem Bułgarów.

Jednak obok słokiego, spotkaliśmy się z czemś gorzkiem, które sercem naszem do głębi wstrząsnęło. Ulgą jest atoli dla nas to, że możemy my wszyscy bułgarscy studenci w szkole weterynaryjnej jednogłośnie poświadczyć, nie przekraczając bynajmniej granicy prawdy, iż korespondencja, o której mowa, oraz sprawdzenie jej przez Szanowną Redakcję są pozbawione wszelkiej podstawy: albowiem nikt z nas nie pisał do nikogo listu, o których podaje wiadomość korespondencja z Gałacu; albowiem nikt z nas nigdy i nigdzie nie żalił się i nie żali się na naszych kolegów Polaków, tembardziej na szanownych pp. profesorów, których obejście z nami jest tak dobrem, serdecznem, uczciwem a tak względnem, iż byłoby wielką niegrzecznością żalić się na nich.

Bardzo nam przykro, że podobna pogłoska o wielce szanownych naszych profesorach rozgłosiła się, pogłoska, która jest nie małą urazą dla ich przychylności w obec nas, tembardziej, że jest nieuzasadnioną.

Dlatego powtórnie wszyscy jednogłośnie protestujemy przeciw podobnej wiadomości, której brak cienia rzeczywistości.

Racz więc, Szanowna Redakcjo, umieścić niniejsze przez wzgląd na prawdę.

Z głębokiem uszanowaniem
Bułgarscy studenci w tuteszej szkole weterynaryjnej. (Tu następują podpisy dziesięciu studentów).

Słówko od nas. Szczerze się cieszymy, że panowie studenci bułgarscy są radzi z przyjęcia, jakiego u nas doznali, z opieki, jaką ich otaczają profesorowie i z tych uczuć bratnich, któremi do nich przejęci są ich polscy koledzy. Jeżeli zabolała i naszego korespodenta w Gałacu i nas pogłoska o pewnych frykcjach, to jedynie tylko z powodu właśnie gorącej sympatji, jaką żywimy do młodego a tak dzielnego narodu bułgarskiego. To też ból ten, jakiegośmy doznali, spełniając przykry obowiązek dziennikarski, który nas zniewalał do poruszenia tej sprawy, wynagrodzony został sowicie tem radośnem uczuciem, jakie w nas wywołał powyższy a tak miły list naszych gości.

Stopień magistrów farmacji na uniwersytecie Jagiellońskim otrzymali pp. Łapiński z Wieliczki, Gustaw Schmanowitz z Jaworzna.

Rosyjska Wielka księżna Olga Teodorówna, żona w. ks. Mikołajewicza młodszego (carskiego brata stryjecznego) przejechała wczoraj przez Lwów wieczornym pociągiem pośpiesznym, dążąc do Niemiec. Pani ta jechała z Petersburga przez Kijów, gdzie odwiedziła matkę mężowską; z Kijowa do Podwołoczysk towarzyszyła jej ogromna świta w carskich wagonach. Od Podwołoczysk dalej pojechała z trzema pannami i sekretarzem w *Sleeping car'ze.*

Odezwa. Na rzecz Towarzystwa św. Józefa z Arymatei, zajmującego się bezpłatnem grzebaniem ubogich, zmarłych chrześcjan, bez różnicy obrządku, zbierać się będzie u bram cmentarzy tutejszych w dnie zaduszne 1go i 2go listopada b. r. dobrowolne ofiary. Towarzystwo wymienione pogrzebało w ciągu swego 27 letniego istnienia kosztem 50.000 zł. w. przeszło 11.000 takich ubogich zmarłych, którzy inaczej byliby nago do grobu chowani. Dobroczynność Publiczności naszego grodu, przyczyniała się zawsze chętnie do utrzymania tej, tak szlachetnej niezbędnej Instytucji; przeto także obecny Wydział Towarzystwa św. Józefa z Arymatei tuszy sobie, że i w tym roku mieszkańcy tutejsi, nie poskąpią łaskawych ofiar, w celu podtrzymania i nadal, tego chrześcijańskiego dzieła miłosierdzia.

Z Petersburga piszą, że tam bardzo smutno wyglądają biura ministerjum spraw zewnętrznych. Vlangali jest na urlopie, Sirowjew bawi u wód, Jomini nie wstaje z łóżka, bo cierpi na silny [illegible]; więc jeden tylko Giers przychodzi do biura. Car przysłał mu przed paru dniami do pomocy Lamsdorfa, dyrektora prywatnej carskiej kancelarji, a po nadnewskiej stolicy rozeszła się pogłoska, że Lamsdorf przybył z poleceniem wynalezienia jak najrychlej rozwiązania kwestji bułgarskiej. Jednak pogłoska ta nie znalazła wiary, gdyż w sferach kompetentnych utrzymują, że car jest ciągle zdania, że należy czekać, aż Bułgarja zje samę siebie i padnie do stóp Rosji z prośbą o pomoc.

Zjazd organistów. Temi dniami zjechali się do Lwowa organiści z różnych stron kraju, celem obrad nad utrwaleniem Towarzystwa wzajemnej pomocy organistów, które „dążyć ma wspólnemi siłami do poprawienia materjalnego bytu organistów, do zmniejszenia, o ile to jest możliwem, troski o przyszłość, do zapewnienia wreszcie członkom swym środków utrzymania na starość i ubezpieczenia rodzin ich na wszelki wypadek." Towarzystwo zamierza dalej zapewnić swym członkom: „ułatwienie wykształcenia się zawodowego, pomoc doraźną na wypadek choroby, lub stałą przy nieudolności do pracy, nareszcie pomoc czasową lub stałą dla wdów i sierót pozostałych po zmarłych członkach Towarzystwa". W zamian członek Towarzystwa winien tylko ściśle wykonywać przyjęte na siebie dobrowolnie zobowiązanie, t. j. płacić rocznie przynajmniej jeden udział w kwocie 2 złr. z odpowiedniem wpisowem.

Towarzystwo dotąd liczy członków rzeczywistych 237 z 455 udziałami, członków wspierających 167, i posiada własnego majątku 2.105 złr. w gotówce. Na 1.000 co najmniej organistów, zatrudnionych przy kościołach w Galicji i Bukowinie, jest to cyfra niezawodnie zbyt mała, to też na obradach w kasynie mieszczańskiem chodziło głównie o uchwalenie sposobów, któreby przyczynić się mogły do przysporzenia liczby członków i do wzrostu Stowarzyszenia.

Szczęśliwej podróży!! Pan Benedykt Płoszczański, jak się dowiaduje jedno z pism lwowskich, wraz z żoną i dziećmi a więc z całą rodziną, przeniesie się na stały pobyt do Rosji.

Ospa. Z Tarnopola donoszą, że z powodu zasłabnięcia na ospę jednego ucznia, mieszkającego u tercjana gimnazjalnego w budynku gimnazjalnym, obok którego to mieszkania koniecznie wszyscy chodzić muszą, rozpuszczono 27 b. m. wszystkich uczniów na dni siedm, z obawy zarazy.

Otwarcie kolei Dębica-Nadbrzezie odbyło się wczoraj. Uroczystości otwarcia przewodniczył radzca rządu i dyrektor kolei Karola Ludwika Sladkowski, w towarzystwie inspektorów Elsnera, Buresha i kierownika budowy nadinżyniera Haunolda. W Dębicy urządził zarząd kolei śniadanie dla zaproszonych gości, poczem o g. 11 27 m. wyruszył pociąg składający się z 16 nowych wagonów do Rozwadowa.

Na wszystkich stacjach oczekiwało ten pierwszy regularny pociąg mnóstwo publiczności i bardzo wiele osób prywatnych po drodze przyłączało się do pociągu. W Mielcu wsiadł do pociągu starosta Kraus, w Chorzelowie przybył na stację Jan hr. Tarnowski z rodziną, w Chmielowie wielu włościan w strojach świątecznych, na stacji w Tarnobrzegu oczekiwał na pociąg marszałek krajowy hr. Tarnowski z całą rodziną i niezliczone tłumy włościan.

Za Tarnobrzegiem podano obiad do wagonów.

W Rozwadowie przywitano pociąg muzyką i wystrzałami z moździerzów. Dworzec iluminowany był lampionami różnobarwnemi a na peronie zebrały się tłumy publiczności. Miejscowy notarjusz p. Martynowicz powitał przemową radzcę i dyrektora Sladkowskiego, dziękując za pospiech i otwarcie kolei.

Miasto z tej okazji dało w sali kolejowej bal, na który przybyła inteligencja miejscowa i goście, którzy przyjechali pociągiem. Dzisiaj rano osobnym pociągiem wyjechał radzca Sladkowski wraz z urzędnikami do Nadbrzezia i Sandomierza; wieczorem powróci osobnym pociągiem do Dębicy.

Do użytku publicznego urządzone zostały następujące stacje: Pustków (przystanek), Dąbie, Rzochów, Mielce, Chorzelów (przystanek), Jaślany, Padew (przystanek), Baranów, Chmielów, Tarnobrzeg, Zbydniów, Rozwadów i Nadbrzezie.

Nieszczęśliwy wypadek. Wóz rozwożący wodę sodową najechał wczoraj na Seilerstätte w Wiedniu na księżnę Adamową Sapieżynę i powalił ją na ziemię. Koła przeszły przez dolną część korpusu, pozostawiając ciężkie uszkodzenia. Księżnę odniesiono natychmiast do pobliskiego domu, gdzie przywołani lekarze udzielili pierwszej pomocy, poczem odwieziono ją do „hotelu arcyks. Karola", w którym mieszka. Księżna obchodziła wczoraj właśnie 57 rocznicę urodzin.

Wypadek ten obudził powszechne współczucie we wszystkich kołach towarzystwa.

Rekonesanse rosyjskie. Z Podwołoczysk nam donoszą, że pod kierunkiem dwóch jenerałów odbywa liczny zastęp rosyjskich oficerów jeneralnego sztabu szczegółowe badanie stanu dróg i mostów, oraz zbiera militarno-statystyczne dane. Po co ta spóźniona gorliwość?

Rosyjski car bułgarskim deputowanym. W Kutlowicach przy ostatnich wyborach do Sobranja wybrany został ogromną większością głosów Aleksander III, imperator Wszech Rosji. Wyborcy urządzili na cześć swego deputowanego wspaniały korowód z pochodniami. Entuzjazm ich dla Rosji tak gorąco się objawiał, że aż wojsko musiało interwenjować. Głównym motorem tej akcji był pop miejscowy, a car niezawodnie nie zapomni odwdzięczyć się i ruble hojnie spłyną na wyborców a zwłaszcza na prowodyra popa.

Awans w armji. Feldmarszałkami-porucznikami mianowani zostali Otmer Crusiz i Jerzy Kovess; jenerał-majorami Jerzy Teodorowicz i Alojzy Pichler; pułkownikami Maksymiljan Berka pułku 20, Henryk Lindner 90, Emanuel Ullmann 40, Jan van der Sloot 30, Edward Ringer 58; dalej w kawalerji Józef Zaleski 10 drag., Adam Borzewiczy 1 ułan., Edward Michałowski 12 dragon., Ferdynrnd Weiss 9 drag. i Aleksander Zaręba w inżynierji.

Podpułkownikami mianowani majorowie: Adolf Remroth i Hugo Jabłoński z jeneralnego sztabu; dalej Oton Lawatschek z pułku 30, Emil Balieux 57, Karol Pokorny 2 bat. strz., Jan Suzdalewicz p. 55, Ludwik Roszkiewicz 16, Stefan Pieniążek w artyl. i Jan Adamowicz w sanit.

Majorami mianowani kapitanowie pierwszej klasy: Henryk Janowski pułku 35, Konstanty Lukic 80, Wacław Janeczek 90, Teodor Poliwka 89, Alfred Sypolewski 9, Maciej Swoboda 13, Rudolf Saar 40, Wiktor Mathes 13 uł.

Kapitanami pierwszej klasy kapitanowie drugiej klasy: Łukasz Serticz 57, Leon Gregorowicz 80, Stefan Golik 13, Karol Haller 40, August Budzinski 77, Aleksander Hladik 9, Franciszek Fabryk 45, Jan Rössel 10, Józef Bök Greisau 13, Wincenty Szwarc 55, Otokar Grünberger 57, Jan Niemiec 30, Henryk Hofbauer 24, Franciszek Mazur 45, Reinhard Scherer 9, Fryderyk Fazan 13, Karol Sołtyński 95, Adolf Blumenburg 13, Franciszek Starostik 15, Juljusz Szulc 30, Gustaw Pohl 93, Juljusz Hofmann 9.

Kapitanami drugiej klasy porucznicy: Eugeniusz Szimak 15, Bronisław Ustjanowski 95, Mieczysław Sawicki 40, Andrzej Wall 57, Piotr Keirl 55, Fabian Lizacz 55, Henryk Maurer 30, Mateusz Berka 45, Jakób Nowak 93, Władysław Szymberski 57, Mikołaj Hercogrwacz 24, Franciszek Putz 24, Józef Preclik 80 Jan Niemeczek 59.

Porucznikami podporucznicy: Jan Błażek 45, Wilibald Riepach 24, Ludwik Mühlbauer 55, Emil Pecz 15, Rudolf Zipper 24, Karol Ulman 57, Jan Muzyka 24, Juljusz Kohn 16, Juljusz Korny 80, Edward Werner 45, Edward Pellizzaro 55, Franciszek Zipfel 57, Józef Liro 57, Józef Schindler 10, Bernard Dattner 57, Józef Bartfeld 9, Rajmund Mitterdorfer 80, Antoni Bilek 30, Karol Różyczka 74, Gustaw Kramer 95. Jan Wolf 95, Władysław Wyszyński 40, Gustaw Szubert 13, Rudolf Filipiszyn 89, Ignacy Pamfili 89, Karol Dworzak 24, Zygmunt Grabowski 30.

Podporucznikami zostali mianowani kadeci: Wilhelm Vernay 93, Józef Türke 15, Ludwik Schwetz 95, Henryk Hlavka 45, Józef Neuman 57. Karol Müllner 10, Rudolf Spatny 93, Tomasz Rustroń 9, Rudolf Blech 24, Rudolf Fleischhaker 15, Jan Fuker 57, Ryszard Pietrosz 89, Mieczysł. Maurer 30, Karol Werner 57, Edward Peter 9, Adolf Szyld 57, Marcin Firek 95, Juljusz Falkner 40, Jan Tiszler 9, Celestyn Brückner 89.

Otrzymaliśmy odpis następującego telegramu, który został wysłany do Wiednia: „moję piętnastoletnią córkę przed dwoma tygodniami skłoniono, żeby się ochrzciła i pozostaje ona w klasztorze na Smoleńsku w Krakowie. Wszelkie możliwe interwencje u władz, których użyłem, żeby córkę moję odzyskać pozostały bezskutecznemi. Upraszam o powiadomienie o tem Wys. ministerstwo, żeby moję córkę bezzwłocznie z klasztoru uwolniono. Abraham Gronner — przedsiębiorca w Suchej.

Zapewne *Czas*, jako na miejscu będący, wyjaśni jak się rzecz ma.

Nadużycia w lwowskim urzędzie cłowym. W dalszym ciągu sobotniego posiedzenia przesłuchano ostatniego oskarżonego Majera Rappaporta. P. Majer jest bratem rodzonym Koppla, ale całkiem do niego niepodobny. Niski, w chałacie; na zaniedbanej fizjonomji sporo rysów wrodzonej przebiegłości rasowej. Zresztą całe zjawisko p. Majera robi nader komiczne wrażenie. Oskarżony ten, jak można było przewidzieć, utrzymuje na serjo, że jest zupełnie niewinny. Mianowicie w dniu 7 stycznia 1886 miał on interesa u dwóch piekarzy, z których jeden mieszka na Łyczakowie a drugi na Zielonem. Idąc od jednego do drugiego musiał przechodzić koło Komory. I tyle jego winy, gdyż nieprawdą jest co zeznał Kwaśniewski, jakoby czatował koło Komory aż komisarz Haas wyjdzie, ażeby dać znak do wywiezienia towarów.

Również nieprawdą jest jakoby Majer R. transportował fury z kontrabandą. On sobie tylko tak koło Wałów przechodził, a że widział na wiezionych ballach litery K. R., więc domyślił się, że to jest towar jego brata i dlatego „tak trochę" się do niego przyłączył. Prosił później Kwaśniewskiego, ażeby fur nie zatrzymywał bo może być, że brat Koppel ma bolety, ale nie czynił więcej żadnych usiłowań w celu powstrzymania Kwaśniewskiego od denuncjowania kontrabandy. Zresztą — mówi oskarżony — Kwaśniewski z początku nawet nie wiedział jak ja się nazywam, znał mnie chyba tylko stąd, że ja mu mówiłem, iż jestem bratem Rappaporta. Dopiero jakoś w trzy dni po wypadku zaprosił mnie Kwaśniewski do Viebiega na wódkę, niby żeby mnie pocieszać a właściwie, żeby się dowiedzieć o mojem nazwisku i dowiedział się, że ja się nazywam Majer. (Oskarżony mówi z komiczną emfazą): A przecież cały świat wie, że ja jestem Majer Rappaport! (Wesołość). Następnie zaprzecza oskarżony jakoby był przy ładowaniu kontrabandy na wozy. Jeżeli Kwaśniewski zeznaje, że go widział, to dlatego, ażeby — mówi oskarżony — i mnie wciągnąć do tej kontrabandy.

Przew. Przecież to nie były pańskie towary, lecz Koppla.

Osk. No! Kwaśniewski myślał, że ja znaczę więcej od Koppla i od towarów! (wesołość).

Na tem, mimo wielkiego wyobrażenia jakie sobie Majer R. o swojej roli w procesie wyrobił, przewodniczący zakończył jego przesłuchanie i odroczył rozprawę do popołudnia.

* * *

W sobotę popołudniu miał stawać pierwszy klasyczny świadek Marjan Kwaśniewski. Z tego powodu audytorjum przepełnione publicznością wyznania mojż. płci męskiej, a galerje takąż samą publicznością płci nadobnej.

Przed Kwaśniewskim przesłuchano jednak świadka Samuela Z i m m e r m a n a, który przybył do Lwowa z daleka, bo aż z Lubyczy, i mimo, że pobierał tu półtora guldena dziennie na życie, dłużej czekać nie chciał. Zimmermann jest rzeźnikiem rytualnym (Schächter), a zarazem trudni się pobijaniem dachów. Był wmięszany w sprawę pochowania zwłok człowieka, który kilka godzin przedtem umarł, w sprawie tej przysiągł fałszywie i za to skazany został na 3 miesiące więzienia, które odsiedział w lwowskim kryminale. Siedział w jednej kaźni z Karpem (który był w więzieniu śledczem) i niejakim Drexlerem. Karp rozpowiadał coś piętnaście razy „swoje kazanie" o całej sprawie, za którą go zamknięto, ale zawsze mówił, że jest niewinny. Inni mieli powiedzieć na niego, że on chciał dać strażnikowi 100 zł., i to wzięto za „sztych" (Bestechung). Nadto Karp żalił się na Rappaporta mówiąc, że od niego nigdy centa nie widział, a teraz musi za niego siedzieć. W końcu podaje świadek, że Karp kłócił się często z drugim współwięźniem Drexlerem, co potwierdza przywołany do rozprawy klucznik więzienny B i a ł o s k ó r s k i. Okoliczność to ważna o tyle, że Drexler zeznał w śledztwie na niekorzyść Karpa.

Trybunał przystąpił do przesłuchania Marjana K w a ś n i e w s k i e g o. Świadek okazałą postawą i przystojną fizjonomią robi pewne wrażenie. Podaje on, że jest naczelnikiem I. oddziału straży skarbowej w ekspozyturze cłowej na dworcu kolejowym.

Woźny sądowy, znany S t o k ł o s zapala świece przed krucyfiksem, na który przysięgać ma świadek, ale wnet je gasi, gdyż aż czterech pp. obrońców zażądało głosu przed zaprzysiężeniem i zaniosło się na długie wywody.

Dr. D u l ę b a, obrońca Karpa, wykazuje sprzeczności zeznań Kwaśniewskiego z zeznaniami innych klasycznych świadków i na tej podstawie kwestjonuje wiarygodność Kwaśniewskiego. Opierając się na postanowieniu § 170 ustęp 7 procedury, żąda obrońca uchylenia przysięgi.

Dr. S z y d ł o w s k i wychodzi z postanowienia § 151 ust. 3 procedury, że świadkowie, którzy wskutek fizycznego lub umysłowego stanu nie są zdolni złożyć świadectwa, nie mają być nawet przesłuchani. Obrońca Petryego wykazuje, że do Kwaśniewskiego stosuje się właśnie to postanowienie ustawy, albowiem całe jego postępowanie świadczy, że działał z niesłychaną nienawiścią ku wszystkim urzędnikom.

Przewodniczący widział się zmuszonym podwakroć przywoływać dra S. do porządku.

Dr. L o e w e n s t e i n (obrońca Puszczyńskiego) oświadcza, że jego rzeczą będzie wykazać później o ile zeznania Kwaśniewskiego na wiarę zasługują i dlatego zaprzysiężenie tego świadka jako kwestję czysto formalną pozostawia ocenieniu Trybunału.

Dr. M a x wreszcie, obrońca Koppla R. przyłącza się w zupełności do wniosku dra Dulęby.

Trybunał po dłuższej naradzie uchwalił odebrać od Kwaśniewskiego przysięgę. § 170 — ust. 7 wprawdzie nie pozwala zaprzysiądz świadka, któryby w śledztwie zeznał nieprawdę, ale przy rozprawie głównej paragraf ten nie ma zastosowania. § 151 ust. 3 zaś wcale zastosowanym tu być nie może, gdyż świadek Kwaśniewski na stosowne zapytanie przewodniczącego, czy żywi niechęć lub nienawiść ku obwinionym, wyraził się w te słowa: „Ja tych panów żałuję!...

Dra Szydłowskiego skazał trybunał na 30 złr. grzywny za wystąpienie przeciw charakterowi Kwaśniewskiego.

Odebrano więc przysięgę od Kwaśniewskiego, który zaczyna całą sprawę opowiadać *ab ovo*.

Z opowieści jego pokazuje się, że mimowolnym orędownikiem całości dochodów skarbowych był naiwny furman z apteki p. Ruckera, niejaki Kołdun, który wyraził się raz na kolei, odbierając towary, że na dole (t. zn. na Komorze) lepiej odbywają rewizję, bo tak nie „sekirują" (sekują) człowieka, jak na dworcu. Kwaśniewski podchwycił to i odkonwojowawszy transport Kołduna z kolei na Komorę już po godzinie 12 w południe, więc po godzinie urzędowej, przekonał się, że tu w kilku sekundach, bez szczegółowego badania transportu, Kołduna odprawiono. Nieszczęście chciało, że się Kwaśniewzki z kimś „zagadał" Skoro się obejrzał, fura Kołduna była już daleko — i nie mógł „zrobić" kontrabandy. — Zakomunikował jednak ten fakt z dnia 3 stycznia p. Haasemu, który polecił mu pilnie śledzić od tej chwili i natychmiast zrobić użytek w razie dostrzeżenia nieprawidłowości. Dowiedziawszy się, że 4-go stycznia przyszedł z Szczakowej transport towarów Koppla Rappaporta do Lwowa i będzie na Komorze głównej oclony, nie spuszczał go z oka. Czatował przed Komorą w dniach 5 i 6 stycznia, jednak bez skutku. Dopiero w dniu 7 stycznia trudy jego uwieńczyło powodzenie. Swiadek opowiada znany już czytelnikom moment przytrzymania transportu towarów, dodając, że Puszczyńskiego wyraźnie pytał: „Czy towar jest deklarowany?" Karp w ciągu tego, jak Kwaśniewski biegał od towaru to do starszego radzcy Moscha, to znów do sali rewizyjnej, usiłował po trzykroć podkupić Kwaśniewskiego.

Wreszcie podaje świadek, że z przypadającej nań części należytości za kontrabandę nie zrezygnował wcale. „Niech — powiada — ludzie daremnie nie wycierają mi oczów temi tysiącami, które mają mi przypaść w udziale." Swiadek zdaje się być rozgoryczony tem, że „ludzie" wytykają mu dzisiaj owe tysiące i z nietajoną złośliwością rozpuszczają wieści, iż świadek na współkę z p. Haasem kupi sobie kamienicę za tę kontrabandę.

Po ukończonem głównem badaniu świadka skarży się on przewodniczącemu, że mu niektórzy z oskarżonych dokuczają niemiłosiernie w sali świadków podczas przerw w posiedzeniach sądowych. Najgorzej zaś dopieka mu syn Koppla Rappaporta, młody meszures, który z taką arogancją wystąpił, że aż dr. Dulęba przechodząc przypadkowo, zdumiał, i przywołał napastnika do porządku.

Wskutek tego p. przewodniczący przykazuje woźnemu Stokłosowi poufnie, iżby dawał baczenie na to, co się dzieje w sali świadków podczas pauzy i nie pozwolił krzywdzić Kwaśniewskiego.

Na tem odroczono w sobotę rozprawę do poniedziałku. Na wniosek dra Dulęby uchwalił Trybunał odbyć wizję lokalną urzędu cłowego i magazynów.

* * *

Na dzisiejszem poniedziałkowem posiedzeniu odczytał przewodniczący pismo p. Emanuela Haasa, zawierające protest przeciw wyrażeniu się dr. Szydłowskiego, który mówiąc o „intrygantach i denuncjantach", zrobił p. Haasowi zarzut niezgodny z prawdą. P. Haas twierdzi, że nie przyznawał się przed nikim, jakoby robił anonimowe donosy. P. Haas żąda ukarania dra S. za to „bezczelne kłamstwo" stosowną grzywną, a nadto wniesienia tej sprawy do Izby adwokackiej, celem wytoczenia drowi S. śledztwa dyscyplinarnego.

Przewodniczący oświadcza, że trybunał poweźmie w tym względzie uchwałę.

Dr. S z y d ł o w s k i: Tego nie rozumiem. Prawo stawiania wniosków do trybunału, służy tylko oskarżycielowi, oskarżonym i obronie, lecz nigdy świadkom i dlatego sądzę, że p. Haas może podczas przesłuchania swego ustnie sprostować, co uważa za mylne. Wnioski świadka nie mogą być przedmiotem uchwały trybunału.

Przed udaniem się Trybunału na naradę zawiadomił sędzia przysięgły profesor weterynarji p. Kretowicz, że z powodu, iż mu się potworzyły w gardle „abscesa na migdałkach" będzie mógł co najwięcej jeszcze tylko na przedpołudniowem posiedzeniu obowiązki sędziego pełnić; na później prosi o uwolnienie, gdyż w gorącej i zadymionej sali oddychać mu nie podobna.

Po dłuższej naradzie uznał się Trybunał kompetentnym do rozstrzygania w kwestji wniesionego pisma które uznał za ważne. Z ostateczną uchwałą w kwestji ukarania dra Szydłowskiego postanowił Trybunał wstrzymać się, aż do przesłuchania dra Bieńczewskiego, sędziego śledczego niniejszej sprawy kryminalnej.

Co do p. Kretowicza uchwalił Trybunał, że stan jego zdrowia zbada lekarz sądowy dr. Gostyński. W obec tego, że w sobotę uwolniono sędziego przysięgłego Morozowickiego, trybunał dalszych uwolnień dopuścić nie może; co najwięcej może przyzwolić na kilkodniową przerwę, jeżeli zajdzie tego konieczna potrzeba.

Następnie przesłuchano jeszcze świadka Kwaśniewskiego, który dawał wyjaśnienia w kwestjach mniejszej wagi, poczem trybunał zarządził wizję lokalną. Wszyscy tedy funkcjonarjusze biorący udział w rozprawie oraz sędziowie przysięgli udali się do głównego urzędu cłowego przy placu Cłowym, gdzie nastąpiło szczegółowe oglądanie lokalu urzędowego, magazynów, oraz wszelkich ksiąg i rejestrów.

Dalszy ciąg posiedzenia dziś o godzinie 4 po południu.

Literatura i Sztuka.

* **„Mors et vita".** Wspaniałą tę trylogję muzyczną Gounoda wykona pojutrze w sali teatralnej Towarzystwo „Lutnia" Jest to rzecz imponująca, pełna przepięknych szczegółów i prawdziwie religijnej wzniosłości. Pierwsza część nosi tytuł: „Śmierć", druga „Sąd ostateczny", trzecia „Życie" Razem liczy one 26 ustępów, z których 12 przypada na część pierwszą. 6 na drugą, a 8 na trzecią.

Na szczególną uwagę zasługuje kwartet solowy i chór w nr. 3 i 5 *(Quid sum miser* i *Ingemisco)* orkiestralne numera części drugiej *Somnus mortuorum* i *Tubae ad ultimum judicium*, gdzie się odzywają straszliwe trąby archanielskie. W części III odznacza się wielka fuga (nr. 8 Hosanna). Wymieniliśmy zresztą tylko najważniejsze ustępy, chcąc bowiem wszystko piękne przytoczyć, trzebaby całość zacytować. Dziś i jutro odbędą się końcowe próby „Lutni," w czwartek zaś nastąpi produkcja, jakiej ucho Lwowian nigdy jeszcze dotąd nie słyszało.

Budowa teatru we Lwowie.

(Sl.) W sobotę ubiegłego tygodnia odbyło się pierwsze posiedzenie komitetu teatralnego wybranego przez Radę miejską tutejszą dla zajęcia się sprawą budowy nowego gmachu teatralnego we Lwowie. Komitet składa się z 41 członków, częścią członków reprezentacji miejskiej i przez nią wybranych, częścią zaś z osobistości wybitniejszych z poza jej grona powołanych przez prezydenta miasta jako przewodniczącego komitetu.

W sobotniem, posiedzeniu wzięło udział ogółem 30 członków; z zamiejscowych był tylko hr. Wład. Koziebrodzki obecny, z miejscowych przybył hr. Skarbek, dr. Wrotnowski, p. mecenas Malinowski, p. Wład. Łoziński, p. Aureli Urbański i wielu innych.

Prezydent miasta powitawszy zgromadzonych i podziękowawszy im za liczne zebranie się, przedstawił w krótkiej przemowie potrzebę nowego gmachu teatralnego w stolicy kraju i powiedział, że zadaniem komitetu teatralnego będzie owej potrzebie zadość uczynić. Zadanie to rozpada się na kilka części. jako to: wynalezienie stosownego miejsca pod budowę, wypracowanie planów i kosztorysu, obmyślenie finansów; to są prace przygotowawcze — po których nastąpi wykonanie budowy, nieleżące już w zakresie czynności komitetu.

Po tem wyjaśnieniu podał przewodniczący do wiadomości obecnych, kto został powołany w skład komitetu, a zarazem odczytał pismo zastępcy marszałka krajowego p. Oktawa Pietruskiego, który dziękując za zaszczytny mandat oświadcza, że przyjąć go nie może, albowiem będąc referentem sprawy teatru w Wydziale krajowym mógłby łatwo popaść w kolizję ze swemi obowiązkami.

Następnie uchwalono powołać w skład komitetu pp. hr. Stanisława Badeniego z Radziechowa (na wniosek hr. Koziebrodzkiego) radnego p. Kędzierskiego (na wniosek p. Roszkowskiego) i 4 delegatów towarzystwa politechnicznego (na wniosek p. Rewakowicza) — poczem rozpoczęła się dyskusja ogólna nad zadaniem komitetu teatralnego.

Długo toczyła się dyskusja nad tem, jaką ma być liczba członków w podkomitetach; hr. Koziebrodzki proponował utworzenie dwóch podkomitetów, z których jeden miałby się składać z 7, drugi z 11 członków; większość jednak poszła za zdaniem p. Roszkowskiego i orzekła, że cały komitet ma się podzielić na dwa podkomitety: artystyczno-techniczny i finansowy.

Każdy z tych podkomitetów ma zadanie samodzielne i może się powiększać przez kooptację, przewodniczącym jednakże obu podkomitetów jest prezydent miasta, który w ten sposób będzie niejako węzłem łączącym obadwa podkomitety i będzie utrzymywał ciągły między niemi kontakt.

Każdy członek komitetu głównego jest zarazem członkiem jednego z podkomitetów i ma w nim głos stanowczy, wolno mu także być obecnym na posiedzeniu drugiego podkomitetu i przemawiać, nie ma tam jednakże prawa głosowania. Uchwały podkomitetów i komitetu pełnego podlegają sankcji rady miejskiej.

Na tem się skończyło inauguracyjne posiedzenie komitetu teatralnego, który oby swoje zadanie zdołał wypełnić jak najprędzej ku pożytkowi i chlubie kraju całego.

P. dyrektor Wrotnowski podniósł przy tej sposobności myśl, że najwłaściwszem miejscem pod budowę teatru byłby ogród jezuicki a mianowicie część jego na rogu ulicy Słowackiego i Kraszewskiego lub naprzeciw gmachu sejmowego, gdzie się znajduje t. zw. „zielona sadzawka". Przeciw temu podnieść się mogą słuszne głosy, że połączone to będzie z uszczupleniem ogrodu, wszelako — zdaniem mówcy — szkoda ta dałaby się powetować w łatwy sposób przez zburzenie zabudowania restauracyjnego w środku ogrodu, albowiem restauracja ta i kawiarnia znajdzie pomieszczenie w budynku teatralnym.

Z zapatrywaniem p. Wrotnowskiego nie zgodziło się wszakże zgromadzenie, które uznało że w ogólności dyskusja na temat miejsca jest jeszcze przedwczesną. Natomiast podniesiono inną myśl a mianowicie konieczność podziału całego komitetu na podkomitety.

Część ekonomiczna.

= **Nowy pasorzyt w mięsie wieprzowem.** Wiadomość zakomunikowana niedawno Towarzystwu lekarskiemu w Berlinie o wykryciu nowego a niebezpiecznego pasożyta w mięsie wieprzowem jest tak ważną, że zwróciła na siebie uwagę świata inteligentnego w całych Niemczech; sądzimy więc, że zasługuje na to, aby i nasza publiczność z jej treścią się poznajomiła.

Pasożyt ten nowo odkryty jest grzybkiem mikroskopowym, należącym do familji tak zwanych grzybków gwiazdkowych lub promienistych *(actinomyces, Strahlen-Pilze)*.

Znaną jest weterynarzom choroba bydła rogatego, której najważniejszym objawem jest charakterystyczne zgrubienie kości dolnej szczęki; zasługą zaś prof. Bollingera jest dojście przyczyny, wywołującej to charakterystyczne nabrzmiewanie kości. Dowiódł on z całą pewnością naukową, że grubienie kości jest w tym wypadku skutkiem wzrostu grzybni, należącej do wyżej wzmiankowanego pasożyta. Następnie prof. Ponfik we Wrocławiu dowiódł, że grzybek ten może się przenieść na człowieka, wywołując w większej części wypadków śmiertelną zakaźną chorobę, zwaną *actinomycosa*.

Pierwszemi objawami choroby tej u ludzi są złośliwe i wyniszczające wysięki (ropienia); późniejszemi choroba serca i innych ważnych organów życiowych.

Od niedawnego czasu wiadomo także, iż niektóre nabrzmiałości szyi i gruczołów usznych u trzody chlewnej przedewszystkiem wywoływane bywają przez tenże mikroorganizm, tj. przez grzybnie tegoż grzybka promienistego.

Najnowszem jednak i najważniejszem jest odkrycie tego pasorzyta w mięśniach czyli w mięsie świń —

Każdemu, kto jest obznajomiony z niemiecką literaturą przyrodniczą, wiadomo, że Virchow z znakomitej swej pracy o chorobie trychinowej (jeszcze przed dwudziestu laty wydanej) zwracał uwagę na pewne dość często w mięsie wieprzowem znajdujące się ciałka wapniowe, które rozmiarem (1·5 do 2 milimetrów) większe są od kapsułek trychinowych, a które także i w mięśniach serca czasem się pojawiają; gdy przeciwnie trychiny w sercu nigdy się nie znajdują.

Nie wiedziano wówczas co to za istoty i wbrew zdaniu Virchowa niektórzy zaliczali je do trychin. Piszący te słowa miał sposobność badać wielokrotnie mięso wieprzowe i spostrzegł owe niewiadomego jeszcze wówczas pochodzenia ciałka wapienne, które pod wpływem kwasu solnego rozcieńczonego rozpuszczały się zupełnie, nie okazując zawartych w ich wnętrzu spiralnie zwiniętych ciałek, jak to się dzieje z wapienną osłoną trychiny pod działaniem tegoż odczynnika.

Otóż dziś już wiadomo, że te ziarnka wapienne są grzybkami promienistemi. Te pasorzyty są bardzo niebezpieczne dla ludzi. — Wobec przeświadczenia naukowego o istnieniu takiego niebezpieczeństwa najrozumniejszem byłoby zaprzestać zupełnie wcale nie estetycznego zwyczaju jedzenia mięsa wieprzowego na surowo.

Odkrycie tego pasorzyta nabawiło ogromnego strachu głównie Niemców, którzy (zwłaszcza w Bawarji) spożywają najwięcej mięsa wieprzowego; ale z drugiej strony odkrycie to jednocześnie z odkryciem niebezpieczeństwa podało środek profylaktyczny czyli zapobiegający mogącemu wyniknąć ze spożycia mięsa wieprzowego niebezpieczeństwu. Środkiem tym jest gotowanie wieprzowiny.

Grzybek ten jest nadzwyczaj czułym na wszelkie odczynniki. Czysta woda go zabija. I dlategoto tak długo nie można go było odkryć, gdyż przy wszelkich pracach mikroskopowych używa się zwykle do preparatu odczynników, które tkankę jego niszczą. Dzięki tej niezmiernej czułości grzybka gotowanie wieprzowiny, przy którem woda gorąca przesiąka do wszystkich tkanek mięsa, jest stanowczym środkiem zapobiegającym możliwości choroby. Żadne wędzenie i solenie nie może być tu tak skutecznem, bo może nie przeniknąć do wnętrza tkanek; jedynie tylko dobre gotowanie.

A więc ostrożnie z surowem mięsem wieprzowem!... *Dr. Z. R.*

Wiedeń 28 października.

(Z) Pokazało się, że spekulacja słusznie kalkulowała przypuszczając, iż dający się powszechnie uczuwać brak gotówki nie długo już potrwa. Słuszność tego zapatrywania uwydatniła się przy dzisiejszej prolongacji, którą przeprowadzono z rezultatem wcale pomyślnym, pomimo że banki na dłuższe terminy po $5^1/_2$ na krótsze zaś po 6 prc. reportowały.

Taki obrót rzeczy stał się powodem wielkiego ożywienia papierów lokacyjnych i wszystkie renty wykazują awanse, jakkolwiek większe dotyczą tylko węgierskich.

Z nowin politycznych korzystnie na przebieg targu wpłynęła tą razą z Londynu pochodząca wiadomość, że zjazd cara rosyjskiego z cesarzem Wilhelmem przecież w końcu przyjdzie do skutku — jakkolwiek przyznać trzeba, że ta nowina nie znalazła tutaj wielkiej wiary. Równie przychylnie przyjęła giełda do wiadomości wywody *Nordd. Allg. Ztg.* o świeżo zawartej konwencji między Francją a Anglją w sprawie kanału Suezkiego.

Pomimo wszystkich tych pomyślnych czynników ruch nie przybrał rozmiarów bardzo obszernych, bo papiery bankowe, pomimo reprizy kredytów i pokupu laenderbanków w ogólności bardzo leniwo się poruszały.

Notowano:

Kredyty austr. 281·60, austro-węgierskie 287·25, uniony —·—, anglobanki 109·75, laenderbanki 225·50, bankvereiny 91·25, ludwiki 212·80, czerniowieckie 222 25, renta wspólna 81·40, srebrna 82·80, złota austrjacka 111.80, papierowa 5% 96·30, złota węgierska 99·85, papierowa 5% 86·55, ruble $1·10^3/_4$.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 31 paźdz. (pryw.)*). Zapewniają, że aresztowany tu nihilista Jassewicz jest właściwie H a r t m a n n e m, owym głównym rosyjskim rewolucjonistą, który zamordował pułkownika petersburskiej policji.

Paryż 31 paźdz. (pryw.)*) Jockey-klub wykluczył senatora hr. D'Andlau.

Do Marokko w specjalnej misji wysłano Ferauda.

Sytuacja parlamentarna nie zmieniła się w ciągu ostatniej doby. Wszystko wisi na włosku. Dziś odbywa się narada ministerjalna wspólnie z prezydentami obu izb. Radykaliści strasznie hałasują. Zdaje się, że bar. Mackau był u Grévy'ego. Ulica demonstruje na rzecz radykalistów, krzycząc „niech żyje Boulanger".

Rzym 31 paźdz. (pryw.)*). Doniesienie z Massawy: Abbisyńczycy rozpoczęli atak na kolonją włoską od strony Saati.

Londyn 31 paźdz. (pryw.)*). Sudańczycy podżegani przez derwiszów rozpoczęli nieprzyjazne kroki przeciw Egiptowi. Są oni pod dowództwem Osmana-Ezreka. Oddział dwutysięczny uderzył na Wady-Halfę. Pułkownik Wodehouse napadł nań w cieśninie gemajskiej, popędził pod Abheh i tu rozbił. Zdaje się że to początek nowej wojny z Sudańczykami. Podobno oni porozumieli się z Abbisynją.

Agenci rosyjscy (mahometańskiego wyznania) przebiegają Egipt, Tunis, Trypolis, kraj Zulusów i wszędzie głoszą, że „Afryka powinna być dla Afrykańczyków".

*) Przedruk wzbroniony.

Z zbożowych targów

31 październ.	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Jarosław
Pszenica	6 35 — 7 10	6 30 — 7 —	6 20 - 6 95	6.50 7.25
Żyto	4 30 5 20	4 35 5. —	4 25 5 —	4.50 5 25
Jęczmień	4 30 — 5 -	3 75 — 5.10	4 — — 6. —	4 75 6 50
Owies	4 — — 5 50	3 95 — 5 15	90 5 —	4 10 — 5 20
Groch	.— 5 —	4 8 —	4.— 8.—	4·75 8 50
Wyka	·— 4 50	3.85 — 4 40	3.50 — 4.50	4.— — 4 75
Rzepak	9.75 10.70	9 50 10.50	9.— 10 50	10 — 10 70
Lnianka	— —	— —	— — —	— —
Konic. czer	35 — — 43	30 42 42 —	22.— 40	35. — 46 —
Konic. biała	— — —	40. — 48 —	37. — 50 -	40 — 55
Konic. szwed	— — —	— — —	— — —	— — —

wszystko za 100 kilo netto bez worka.

Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł 20 — 60 nominalnie **Okowita** za 10·000 litr. proc. Lwów loco 26·— do 26.50 **Wiedeń** 31 październ. Pszenica od 7 65 do —·—. Żyto od 5·95 do —·—. Okowita 26.25 — do —·—. **Berlin** 31 październ. Pszenica 157.— do 168 — Żyto 117.— do 126·—. Okowita 96 — do 99.—. **Peszt** 31 październ. Pszenica 7·15 do —·— Żyto 5.65 do —·— Okowita 25 75 do —·—.

Kursa giełdowe.

Wiedeń dnia 31 październ. Godzina 10 minut 55. Renta wspólna papierowa 81·50 Renta wspólna srebrna 82·50 Renta 4% złota 111.60. Renta 5% papierowa 96.30. Akcje banku austro-węgierskiego 885. — Akcje austrjackie kredytowe 281.—. Funty szterlingi 125·15. Napoleondory 09 91—. Marki niemieckie 61.45—.

Lwów. Z Izby handlowej, 31 października 1887.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	213 25	215 50
„ lwow. czer.-jass. 200 zł. w. a.	221 —	224 50
Banku hypot. galic. 200 zł. w. a.	281 —	286 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	211 —	216 —
2. Listy zastawne za 100 złr.		
Banku. hyp. galic. 6 prc. w. a	— —	— —
„ „ „ 5 „ „	99 50	100 50
„ „ „ 5 „ prem.	102 75	104 —
Banku krajowego $4^1/_2$ % w. a.	95 50	96 50
Tow. kred. galic. 5 „ „	100 75	101 75
„ „ „ 4 „ „	92 —	93 —
„ „ „ $4^1/_2$ „	96 —	97 —
3. Listy dłużne za 100 złr.		
G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	51 —	54
„ „ „ „ (d. 5%) $2^1/_2$% „	46 —	48
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	103 65	104 65
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	100 —	101 —
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	103 50	105 50
„ „ „ 1883 $4^1/_2$% „	94 —	95 —
5. Losy.		
Losy miasta Krakowa	18 75	20 75
„ Stanisławowa	32 —	35 —
6. Monety.		
Dukat holenderski	5·82	5·92
Dukat cesarski	5·88	5 98
Napoleondor	9·87	09·97
Półimperjał rosyjski	10·24	10·34
Rubel rosyjski srebrny	1·40	1·50
„ „ papierowy	$1·09^1/_2$	$1·11^1/_2$
100 marek niemieckich	61.25	61.85

Pociągi kolejowe

podług zegaru lwowskiego od dnia 20 paździer. 1887 roku

Do Lwowa przychodzą:	Pociąg pospiesz	Pociąg osobowy	Pociąg mięszany	Pociąg lokalny
Z Krakowa	5.50	9.27	11.35	7.06
„ Podwołoczysk	10.24	3 05	3.50	
„ „ na Podzamcze	10.10	2.28	3.19	
„ Czerniowiec	10 3	3 35	5 30	
„ Stanisławowa	6.36	9 35	9.29	
Ze Lwowa odchodzą:				
Do Krakowa	10.44	4.10	4.50	8.10
„ Podwołoczysk	6.10	10.25	12 38	
„ „ z Podzamcza	6.22	10.55	1.08	
„ Czerniowiec	6.20	11 06	12.22	
„ Stanisławowa	9 34	6 35	5.20	

Do Lwowa przychodzą:

Z Husiatyna, przych. pociąg osobowy o g. 4 m. 35 Z Stryja Chyrowa przych. pociąg osobowy o g. 4 m. 35 i o godz. 8 m. 59.

Z Ławocznego, Chyrowa, Stanisławowa, Stryja i Husiatyna przychodzi pociąg osobowy o godz. 1 m. 35

Ze Lwowa odchodzą:

Do Husiatyna odch pociąg osobowy o g 11 m. 47 i o godz. 8 m. 04. — Do Stryja, Chyrowa odchodzi pociąg osobowy o g. 8 m. 04. — Do Stryja, Chyrowa i Ławocznego odchodzi pociąg osobowy o godz. 11 m. 47 i o g. 6. m. 30.

Uwaga: Godziny oznaczone grubemi liczbami oznaczają porę nocną od godziny 6 wieczór do 5.59 m. rano

15)

Klejnot kapłanów.

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy).

Wtedy Indjanin służący towarzyszom za tłumacza, oznajmił publiczności, że widowisko skończone. Zauważyłem, że twarz oliwkowa tego człowieka stała się prawie popielatą, gdy usłyszał głos pana Murthwaite.

Akrobatki, pozbawione w ten sposób zabawy, wydały ogromne „och!“ jako naganę dla pana Murthwaite. Chłopiec obszedł widzów z kapeluszem w ręku i zabrał obfitą daninę, poczem panie wróciły do salonu a panowie do sali jadalnej, z wyjątkiem pana Franklina i pana Murthwaite. Ja i Samuel poszliśmy zobaczyć, czy Indjanie wynieśli się z parku.

Powracając boczną ścieżką, uczułem woń tytoniu i po chwili spotkałem obu tych panów, przechadzających się między drzewami. Pan Murthwaite palił cygaro z Manilli, pan Franklin zaś, wierny swemu postanowieniu, trzymał jakiś kwiatek w ustach, zamiast ognia.

— Oto jest — rzekł pan Franklin — nasz stary przyjaciel i domownik, Gabrjel Betteredge, o którym panu wspomniałem przed chwilą. Bądź pan łaskaw powtórzyć mu to, o czem mnie uwiadomiłeś.

Pan Murthwaite wyjął cygaro z ust i opierając się niedbale o drzewo, rzekł:

— Panie Betteredge, ci trzej Indjanie są takimi kuglarzami, jak naprzykład pan Franklin i ja.

Nowa niespodzianka! Zapytałem naturalnie pana Murthwaite, czy już kiedy widział tych ludzi.

— Nigdy — odparł — ale widywałem prawdziwych kuglarzy indyjskich i nie łatwo mnie oszukać pod tym względem. Dzisiejsze sztuki były tylko nieudatnem naśladowaniem rzeczywiście zadziwiających tajemnic magji indyjskiej. Albo moje doświadczenie bardzo mnie zawodzi, albo też są to braminowie, z kast najwyższych. Wyrzuciłem im że przybyli tu pod przebraniem, i pomimo wrodzonego Indjanom daru panowania nad sobą, mogliście widzieć, że zgadłem, bo moje słowa zrobiły na nich wielkie wrażenie. Jest wszelako w ich postępowaniu tajemnica, której nie mogę pojąć. Utracili podwójnie swoję kastę: najprzód przez przekroczenie granic Indyj, powtóre przez to przebranie. Utrata zaś kasty jest straszliwą ofiarą w Indjach; narażając się na to, musieli mieć powód bardzo ważny, który za powrotem będzie stanowił dostateczne usprawiedliwienie ich postępowania, gdyż tylko w takim razie zostaną napowrót przyjęci do kasty.

Oniemiałem z podziwienia. Pan Murthwaite wziął się napowrót do cygara, pan Franklin zaś, naradziwszy się sam z sobą, to jest ze swojem usposobieniem francusko-niemiecko-włosko-angielskiem, przerwał milczenie następującemi słowami:

— Przykro mi, panie Murthwaite, że zniewolony jestem zaprzątać pana sprawami, dotyczącemi wyłącznie mojej rodziny. Lecz po tem, co pan powiedziałeś przed chwilą o kuglarzach, czuję że względu na spokój mojej ciotki i kuzynki, winienem panu udzielić pewnych szczegółów, mających rzucić światło na postępowanie Indjan. Uprzedzam pana przy tem, że jest to tajemnica między nami trzema.

Po tym koniecznym wstępie opowiedział podróżnikowi wszystko, o czem mówiliśmy na Drżących piaskach. Sztywny i zawsze obojętny pan Murthwaite słuchał z takiem zajęciem, że nie uważał, iż pyka z zagasłego cygara.

— A teraz — rzekł pan Franklin, kończąc — jakie stąd wnioski wyprowadza pańskie doświadczenie?

— Moje doświadczenie — odparł wędrowiec — oświadcza, że pan uniknąłeś cudem niebezpieczeństwa groźniejszego od tych, przez jakie ja sam przechodziłem w Indjach, a to coś przecie znaczy.

— Więc położenie jest istotnie tak niebezpieczne? — zapytał pan Franklin.

— Nie wątpię o tem. Odzyskanie djamentu skłoniło braminów do poświęcenia kasty. Teraz z cierpliwością żbików lub tygrysów, czatować będą na sposobność i skorzystania z niej, z takiemże jak żbiki lub tygrysy okrucieństwem. Trudno istotnie pojąć, że pan zdołałeś im umknąć. To tylko jedno ten cud wyjaśnia, że odebrałeś djament w dzień biały, kiedy tłumy ludu krążyły po ulicach, zatem w razie morderstwa łatwo byłoby schwytać zabójcę i cel jego główny byłby chybiony, oraz, że zmieniłeś godzinę swego przybycia.

— Ale cóż nam czynić wypada, skoro Indjanie widzieli djament?

— Doprowadzić corychlej do skutku groźbę pułkownika, który widocznie znał doskonale charakter i zwyczaje indyjskie. Jutro bez żadnej zwłoki należy posłać djament do Amsterdamu, pod opieką kilku pewnych ludzi i dać go przepiłować na pół tuzina brylantów. Tym sposobem tożsamość djamentu braminów zostanie usunięta, jego cecha religijna zniknie i wtedy sprzysiężenie fanatyków przestanie istnieć.

Pan Franklin zwrócił się do mnie.

— Niepodobna wahać się dłużej; jutro rozmówię się z ciotką.

— A noc dzisiejsza? — zagadnąłem. — Przypuśćmy, że Indjanie powrócą.

— Tego nie zrobią — wtrącił pan Murthwaite. Ich usposobienie sprzeciwia się używaniu środków wprawdzie szybko wiodących do celu, lecz mogących narazić ich samych. Wiedzą oni, że najlżejszy błąd i niewczesny pośpiech może zwichnąć całe przedsięwzięcie.

— Gdyby jednakże ośmielili się? rzekłem.

— To spuście psy — odparł p. Murthwaite. — Musicie je mieć przecie.

— Dwa, i to nie od parady. Buldog i chart ogromny.

— To wystarczy.

Rzucił cygaro i wziąwszy pana Franklina pod ramię, skierował się ku pałacowi. Idąc za nimi, zrobiłem uwagę, że niebo się zachmurza. Pan Murthwaite spojrzał na mnie i rzekł drwiącym tonem:

— Jeżeli Indjanie mają zamiar ukraść djament tej nocy, to muszą się zaopatrzyć w parasole.

Żartował sobie z mego niepokoju. Ale ja nie byłem, jak on, sławnym podróżnikiem, przywykłym do narażenia życia w takich krajach. Wróciwszy do swojego pokoiku, z przestrachem zadawałem sobie pytanie, co począć, co przedsięwziąć należy. Kto inny w takim stanie umysłu, dostałby niezawodnie febry; ja zaś wziąłem się na sposób: zapaliłem fajkę i zacząłem czytać Robinsona Kruzoe.

Czytałem może pięć minut, gdy na stronicy 167 wpadły mi w oczy następujące wyrazy:

„Obawa niebezpieczeństwa jest tysiąc razy straszniejszą, niż samo niebezpieczeństwo.“

Ktoby po tych słowach nie uwierzył w Robinsona, ten jest albo tępego umysłu, albo uprzedzony. Z takim nie warto rozprawiać a nawet politowanie można zachować dla godniejszych od niego.

Kończyłem już drugą fajkę, podziwiając niezrównanego Robinsona, gdy weszła Penelopa, która podawszy herbatę, miała teraz chwilkę swobodną i była gotowa złożyć mi raport o tem, co się dzieje w salonie.

Akrobatki śpiewały duet, zaczynający się od ogromnych „och!“ Milady pierwszy raz robiła błędy przy wiście a pan Murthwaite drzemał w kącie. Pan Franklin bawił się kosztem damskich towarzystw dobroczynności w ogóle, a Penelopa zauważyła, że odpowiedzi pana Godfreya były, jak na filantropa, zanadto ostre. Spostrzegła także, iż panna Rachela, niby to pokazując album pani Ablewithe, zamieniała z panem Franklinem spojrzenia całkiem zrozumiałe dla każdej pokojówki, mającej choć odrobinę sprytu i rozsądku. Doktor Candy ulotnił się tajemniczo z salonu i nie było go może z pół godziny, a gdy wrócił, przysiadł się do pana Godfreya i zaczął z nim coś szeptać bardzo żwawo. Słowem zabawa szła daleko lepiej, niż podczas obiadu; za godzinę lub półtorej zajadą powozy i będziemy mogli pójść spać

Wszystko mija na świecie; tak też i pocieszający wpływ Robinsona minął, razem z odejściem Penelopy. Dręczony obawą i nie mogąc usiedzieć na miejscu, pomyślałem, że wartałoby przepatrzyć ogród, zanim deszcz zacznie padać. Zamiast lokaja, wziąłem ze sobą charta, którego węch wzbudzał we mnie większe zaufanie. Obszedłem park i drogę, nie spotkawszy ani cienia żadnego włóczęgi. Razem z nadejściem powozów przed pałac, puścił się deszcz obfity, zapowiadając całonocną ulewę. Nie troszczyli się o to goście, zamknięci w wygodnych karetach, lecz żal mi było biednego doktora, który wsiadł do odkrytego faetonika. Wyraziłem nawet obawę, że się może przeziębić, ale pan Candy odparł mi na to, że człowiek w moim wieku powinien wiedzieć, iż każdy doktor ma skórę nieprzemakalną.

ROZDZIAŁ IX.

Po wyjeździe ostatnich gości, wyszedłem do przedpokoju, w chwili gdy milady i panna Rachela wychodziły z salonu, razem z młodymi panami.

Pan Godfrey zażądał wody sodowej z wódką, pan Franklin podziękował za wszystko i usiadł w korytarzu, jakby już umierał ze znużenia.

— Rachelo — zapytała milady — gdzie schowasz djament?

Panna Rachela była w tym nastroju umysłowym, który popycha do mówienia niedorzeczności i do upierania się przy swojem. Takie usposobienie daje się nieraz spostrzegać u młodych panien, podnieconych niezwykłemi wydarzeniami lub zabawą.

Najprzód panna Rachela oświadczyła, że sama nie wie, gdzie ma podziać swój djament, potem że go położy na toalecie. Ale przypomniała sobie, że djament może będzie świecił w nocy swoim pięknym blaskiem i to ją przestraszy. Wtedy zdecydowała się schować go do biurka indyjskiego, stojącego w jej saloniku.

— Tym sposobem — rzekła — dwie osobliwości z jednego kraju będą się mogły wzajemnie podziwiać

— Ale, moja kochana, odparła milady, biurko nie zamyka się na klucz.

— Alboż to mieszkamy w hotelu, moja mamo? Przecież w naszym domu nie ma złodziei.

Milady zamilkła i powiedziawszy dobranoc swoim siostrzeńcom, pocałowała córkę.

— Może go dasz mi na noc dzisiejszą do schowania?

Panna Rachela tak przyjęła tę propozycję, jak gdy żądano od niej, kilka lat temu, aby się rozłączyła z ulubioną lalką. Milady widząc, że tego wieczora nie trafi z nią do ładu, rzekła tylko:

— Przyjdź do mnie jutro rano Rachelo, muszę z tobą pomówić.

I odeszła, pogrążona w myślach, zapewne w niebardzo przyjemnych. (C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor Wacław Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni i litografji Pillera i Spółki (Nr. Telefonu 174 A.)